UMCS LUBLIN

Tumult w Opolu

Romuald Wiśniewski

„BREKAOUTOM" wyrządzono wielką krzywdę. Tak przynajmniej twierdzi redaktor Walicki. Opinia jego wywołuje powszechne poruszenie. Osobiście nie jestem tym wstrząśnięty. Myślę raczej, jak wyplątać się z tej całej historii i zastanawiam się, po jakiego licha dałem się w nią wciągnąć. Tu siedzą sami fachowcy, zęby w różnych opolach, kołobrzegach i sopotach zjedli, znają się nawzajem, wiedzą kto, co, gdzie i jak, pewnie chadzają ścieżkami zakulisowych tajemnic. A ja? Telewizję oglądam rzadko, bo nie mam aparatu, radiowego „Popołudnia z młodością" nie słucham, bo nie mam czasu, nie tylko więc nie potrafię poznać po twarzach, kto jest kim, ale nie znam nawet dostatecznie repertuaru wszystkich zespołów i solistów.

Ale służba służbą, naczelny powiedział, że mam jechać do Opola, więc pojechałem, ku zazdrości znajomych — że służbowo, że nie za własne pieniądze, że zobaczę osobiście. Bóg mi świadkiem, chętnie bym się wybrał prywatnie, posłuchać, popatrzeć, rozerwać się, lat temu ileś tam wstecz z piosenką i estradą związany byłem, rzec można, profesjonalnie, lecz co napiszę teraz, skoro, znając długość cyklu produkcyjnego „Kameny", wiem, że owoc mego pióra ukaże się dopiero w sierpniu, gdy publiczność już zapomni o tej imprezie, a w każdym razie, gdy wszystkie inne pisma zdążą wyczerpać temat? A pisma obsadziły festiwal swoimi przedstawicielami licznie, jak nigdy. Stu kilkudziesięciu dziennikarzy z kraju i spora grupka zagranicznych ma oficjalną akredytację. I oto teraz na konferencji prasowej w „Toropolu", red. Walicki (przepraszam, nie znam imienia ani pisma, które reprezentuje) skarży się, że „Brekaoutom" wyrządzono krzywdę. Nie pozwolono im mianowicie dokończyć porannej próby z reżyserami i operatorami z telewizji — a to z powodu zbyt długich rzekomo włosów i niedbałych strojów. Chciano nawet mierzyć im włosy centymetrem, lecz uznali to za chęć naruszenia ich wolności osobistej, nie zgodzili się, reżyser uparł się też i stąd konflikt.

Red. Andrzej Jaroszewski z komisji artystycznej festiwalu wyjaśnia, że wina jest po stronie „Brekaoutów". Telewizja przyjęła zasadę, iż osoby występujące przed jej kamerami muszą swoim wyglądem odpowiadać pewnym normom estetycznym a zatem jeśli zespół ma być poka-

Dokończenie na str. 6

CICHOCIEMNI spod lubelskiego nieba

Strona 3

Wywiadowczo-dywersyjna grupa Wojska Polskiego

CENA 2 ZŁ

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

Kamena

LUBLIN 3.VIII.1969. Nr 16 (423) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Wychodzi od 1933 r.

W 25 rocznicę Powstania Warszawskiego

Ryszard Wojciechowski: „Po raz ostatni". Rzeźba eksponowana na III Ogólnopolskiej Wystawie Plastyki „Przeciw wojnie" w Lublinie.

fot. A. Polakowski

Krzysztof Kamil Baczyński

Elegia o chłopcu polskim

Oddzielili cię, syneczku, od snów, co jak motyl drżą,
haftowali ci, syneczku, smutne oczy rudą krwią,
malowali krajobrazy w żółte ściegi pożóg,
wyszywali wisielcami drzew płynące morze.

Wyuczyli cię, syneczku, ziemi twej na pamięć,
gdyś jej ścieżki powycinał żelaznymi łzami.
Odchowali cię w ciemności, odkarmili bochnem trwóg,
przemierzyłeś po omacku najwstydliwsze z ludzkich dróg.

I wyszedłeś jasny synku z czarną bronią w noc,
i poczułeś, jak się jeży w dźwięku minut — zło.
Zanim padłeś, jeszcze ziemię przeżegnałeś ręką.
Czy to była kula, synku, czy to serce pękło?

1944 r.

„Godzina W"

Józefa Radzymińska

W tym miesiącu mija 25 rocznica Powstania Warszawskiego. Przed rokiem przedrukowaliśmy z „Odrodzenia" artykuł Zenona Kliszki, który wnikliwie oceniał polityczne znaczenie powstania i nadzieje, jakie z nim wiązała polska prawica. Obecnie zamieszczamy opis kilkunastu tragicznych dni Warszawy w sierpniu 1944 r. pióra Józefy Radzymińskiej. Fragment ten został wyjęty z przygotowywanego do druku tomu pt. „Dwa razy popiół".

POD koniec lipca Kamila powiadomiła oficjalnie łączniczki o stanie pogotowia. Każda z nas miała wyznaczony punkt, na który trzeba było się stawić na wypadek rozkazu. Mnie przypadło mieszkanie na Polnej, to samo, w którym przepisywałam na matrycy wiersze do tomu „Krwawa rysa". Przygotowane tam były torby sanitarne, kombinezony i nieco zapasów żywnościowych. Żyliśmy w stanie nieustannego podniecenia. Każdej chwili oczekiwano „Godziny W", mającej oznaczać wybuch powstania.

Trzydziestego lipca zaalarmowana przez łączniczkę stawiłam się na punkt. Ale niebawem kazano nam rozejść się do domów. Coś działo się ponad naszymi głowami, jakieś sprzeczne rozkazy i odwołania, nikt nam nie umiał niczego wyjaśnić. Chłopcy chodzili po mieście niemal jawnie z bronią, nic sobie nie robiąc z zastrachanych niemieckich żandarmów, dziewczęta z chlebakami, przewieszonymi przez ramię, uśmiechały się tajemniczo, ale nikt nic pewnego nie wiedział. Wróciłam więc do domu, właściwie ciesząc się z odwołania alarmu, bo dręczyły mnie wyrzuty sumienia w stosunku do matki, że zostawiłam ją samą. Miała cztery córki, a w najgorszych dniach zostawała sama, bo trzy z nas miały już swoje rodziny, a ja wyrywałam się do powstania.

Ostatni dzień lipca spędziłam z matką, czulsza niż zawsze. Była z nami i Halszka *), która wpadała do rodzinnego domu jak po ogień w swoich ciągłych wędrówkach. Nie mogłyśmy jednak długo usiedzieć na miejscu, każda miała do załatwienia mnóstwo spraw, ja chciałam dopilnować w powielarni zszywania mej „Krwawej rysy" i umówiłam się z Wojtkiem Menzlem, ona miała spotkać się z łącznikami i Romanem **), a właściwie chciałyśmy się dowiedzieć, co z tą „Godziną W". Toteż nazajutrz, dnia pierwszego sierpnia, pożegnałyśmy matkę z zapewnieniem, że wrócimy wieczorem i udałyśmy się każda w swoją stronę, umawiając się o godzinie trzeciej w resturacji „Cristal" na rogu Brackiej i Alei Jerozolimskich.

Dzień był pochmurny, siąpił lekki deszcz. Komunikacja była utrudniona, mosty zatarasowane wszelkiego rodzaju pojazdami, na ulicach mrowie ludzi wyraźnie podnieconych, pośpiech, niepewność, rozgorączkowanie, błyszczące oczy, coś nieuchwytne, drażniące, niepokojące, jakby zarazem radosne, wisiało w powietrzu.

Czekałem na Wojtka w Alejach przed BGK, tak jak się umówiliśmy, lecz dawno minęła ustalona godzina, a on nie przychodził. Ponieważ zawsze był punktualny, wiedziałam już, że stało się coś ważnego, co go musiało zatrzymać. Przyszło mi na myśl, że może ogłoszono ponowny stan pogotowia, a ja o tym nic nie wiem, nikt mnie nie zdążył powiadomić. Patrzyłam niespokojnie, jak od mostu Poniatowskiego nadciągała śpiesznie fala ludzi. Mówiono, że przejście przez mosty jest zamknięte, nikogo nie puszcza się na Pragę. Zatrwożyłam się nie na żarty. Co będzie, gdy naprawdę nie będę mogła wrócić do matki? Dobrze chociaż, że umówiłam się z Halszką.

Pobiegłam do „Cristalu" i zastałam ją tam w towarzystwie Romana i Zbyszka Stolarka. Nic pewnego nie wiedzieli. Siedzieliśmy martwiąc się tym wszystkim, gdy nagle huknęły strzały. W oka mgnieniu opustoszały Aleje, widziałam przez okno uciekających

* Joanna Żwirska
** Roman Bratny

Dokończenie na str. 4

Z teatrem do Skopje — bez koturnów (II)

Tam, gdzie zafalowała ziemia...

Marek Adam Jaworski

PRZED nami trzeci etap podróży — z Subotnicy do Skopje, czyli inaczej mówiąc około 700 kilometrów. Powieki ciężkie niczym ołów, wczorajszy upał dotkliwie dał się we znaki. Dzisiejszy dzień chyba też nie będzie lekki, słońce pali od samego rana. Wielu z nas, nauczonych doświadczeniem, kupuje dwulitrowe butelki z wodą mineralną. Płacimy po 3 dinary. Później — już w Bitoli — widziałem na wystawie sklepowej takie same butelki napełnione winem. Cena — 8 dinarów. W Polsce te proporcje układają się inaczej, ale przecież Jugosławia słynie z uprawy winorośli.

Mijamy Nowy Sad. Tutaj lubelski teatr występował przed pięcioma laty. Nie ma jednak czasu — niektórzy aktorzy żałują — na odświeżanie starych znajomości.

Po trzech godzinach jazdy — Belgrad. Stolicę Jugosławii możemy oglądać tylko z okien autokarów. Ruch na ulicach duży, stale tworzą się korki, w pewnym momencie dosłownie ocieramy się o tramwaj. Milicjanci, ubrani w białe, lekkie mundury, w tropikalnych hełmach na głowach, usiłują zaprowadzić jaki taki porządek na skrzyżowaniach, ale kierowcy nie należą do zbytnio zdyscyplinowanych.

W wielu miejscach chodniki są dosłownie zastawione samochodami, przeważnie... „Zastawami". Na pierwszy rzut oka sprawia to wrażenie ogólnego dobrobytu. Nie wolno jednak z pobieżnych obserwacji wyciągać zbyt daleko idących wniosków. Już po kilku dniach mogliśmy się o tym przekonać. Gdy piszę te słowa, mam jeszcze przed oczami mizerną postać kilkunastoletniego chłopca z Ohrydu, który zaproponował mi, abym wrzucił do jeziora dinara, a on wydobędzie z wody tę monetę!

Ale na razie jesteśmy jeszcze na ulicach Belgradu. Wpadamy właśnie w jakieś zaułki, by wreszcie znaleźć się na nowej autostradzie, która łączy stolicę Jugosławii nie tylko ze Skopje, ale również z Sofią i Salonikami. Po kilkunastu kilometrach jazdy otwiera się wspaniały widok: wyrasta Avala, przepiękne wzgórze o wysokości ok. 520 m nad poziomem morza. Niestety, znów nie mamy czasu, aby obejrzeć pomnik Nieznanego Żołnierza z I wojny światowej, dzieło rzeźbiarza I. Mestrovicia z 1938 r., stanowiące — jak mi później mówiono — symbol utworzenia w 1918 r. „Królestwa SHS" — Serbów, Chorwatów i Słoweńców, przekształconego w 1929 r. przez króla Aleksandra I w Królestwo Jugosławii. Nie wiem jednak, czy dzisiejsza Jugosławia będzie uroczyście obchodzić 3 października b.r. 40-lecie owego aktu, jako że Aleksander I proklamował wówczas dyktaturę i zaczął uporczywie forsować sztuczną teorię „jugosłowianizmu", mogącą tylko pogłębiać narodowościowe antagonizmy. No, ale nie zagłębiajmy się w historię, bo długo jeszcze nie dojedziemy do Skopje...

Na autostradzie ruch stosunkowo niewielki. Przeważają wozy transportowe, na niektórych wielkie napisy: Albania i Bułgaria. W pewnym momencie zwalniamy, bo w rowie leży właśnie jedna z gigantycznych ciężarówek. Nieco dalej — droga zatarasowana, widzimy funkcjonariuszy milicji, karetkę pogotowia i wśród mrowia biegających ludzi — starą czapkę porzuconą na asfalcie. Nietrudno się domyśleć, że właśnie zdarzył się tu wypadek.

Nasz kierowca staje się czujniejszy, a my wszyscy poważniejemy.

Wzdłuż autostrady, co kilkanaście kilometrów, rozsiadły się motele. Na moment zatrzymujemy się przed jednym.

Wewnątrz kilka osób. W bufecie — bateria wódek i win oraz duży zapas napojów chłodzących z lodu. Ale butelka jugosłowiańskiej „coca-coli" czy cytrynady kosztuje 2 dinary. Później, w Skopje, za taką samą płaciłem ulicznemu sprzedawcy 60 para. Drenaż turystów więc niebagatelny. Ba — przy

Dokończenie na str. 4

teatrnn.pl

Kultura 1969

Zmarli

✡ W wyniku wypadku samochodowego 28-letni aktor teatralny, filmowy i estradowy Bogumił Kobiela. Szkołę teatralną ukończył w Krakowie, karierę artystyczną rozpoczął w teatrze „Wybrzeże", wraz ze Z. Cybulskim był współzałożycielem głośnego teatrzyku studenckiego „Bim-Bom". Występował w filmach „Popiół i diament", „Zezowate szczęście", „Rozstania", „Rękopis znaleziony w Saragossie", „Lalka" i in. Dużą popularność zyskał też dzięki częstym występom w telewizji oraz kabarecie „Wagabunda".

✡ 85-letni pianista Wilhelm Backhaus, znakomity odtwórca dzieł Beethovena. Dostał ataku serca grając na estradzie w Klagenfurt.

Literatura

✡ „Czytelnik" wydał po raz pierwszy w formie książkowej powieść Marii Dąbrowskiej „Domowe progi", która przed 30 laty była drukowana w czasopiśmie „Kobieta współczesna".

✡ Nakładem PIW ukazał się tom Kazimiery Iłłakowiczówny „Rzeczy sceniczne", zawierający kilka propozycji: burleskę dla teatru lalek „Baniałuka o chuliganie", farsę obyczajową „Kto wie, czyje będzie na wierzchu", dramat historyczny „Ziemia rozdarta" i miniaturę dramatyczną „W wigilię cudu".

✡ Ukazało się II wydanie „Genealogii ocalonych" Lesława M. Bartelskiego, obraz grupy literackiej „Sztuka i Naród" z okresu okupacji (T. Borowski, T. Gajcy, K. Baczyński i inni).

✡ Augustyn Necel z Władysławowa, rybak i pisarz-samouk, jest autorem dwutomowej epopei „Krwawy sztorm" i „Złote klucze", która jest sagą o walkach Kaszubów ze Szwedami.

✡ W Kopenhadze odnaleziono fragmenty nie znanej powieści autora „Ditty" — Martina Andersena-Nexö, pod tytułem „Odkupienie". Utwór ma charakter pamiętnika i korespondencji dwojga przyjaciół. Pewne wątki „Odkupienia" znalazły się w późniejszych utworach pisarza.

✡ Nagrodę literacką Akademii Francuskiej za dzieło „pokazujące młodzieży przykłady osiągnięć" otrzymała Jacqueline Auriol, rekordzistka świata w szybkości samolotu w obwodzie zamkniętym (2030 km/godz. na samolocie „Mirage II R").

✡ Katowicki ZBoWiD, wydawnictwo „Śląsk" oraz oddział ZLP w Katowicach ogłosiły otwarty konkurs literacki na powieść, tom opowiadań, tom wierszy, poemat, scenariusz filmowy i telewizyjny oraz sztukę teatralną. Prace można nadsyłać do 31 grudnia 1970 r.

✡ Przedstawiciele stowarzyszeń autorów, wydawców, księgarzy i bibliotekarzy z wielu krajów obradowali pod egidą UNESCO, aby stworzyć międzynarodową organizację, która ułatwiłaby wolną wymianę książek w całym świecie.

Teatr

✡ II Międzynarodowy Festiwal Festiwali Teatrów Studenckich odbędzie się we Wrocławiu od 18 do 26 października. Weźmie w nim udział 12 zespołów zagranicznych i 6 polskich, m. in. lubelski „Gong II".

✡ Jesienią w warszawskim Muzeum Teatralnym zostanie otwarty gabinet Leona Schillera.

✡ W Londynie odbyły się prapremiery dwóch nowych sztuk Harolda Pintera — „Milczenie" i „Pejzaże". Ta ostatnia była nadana przez radio przed rokiem, ale później cenzura (już zniesiona) zakazała wystawienia jej na scenie.

✡ Comedie-Francaise wybiera się na sześciotygodniowy objazd po Kanadzie i USA.

✡ Angielski zespół aktorski Rolle College Dramatic Society wystawia sztuki, oparte wyłącznie na — podręcznikach i instrukcjach wojskowych. Są to sztuki satyryczne „wykazujące bezskuteczność metod wojskowych w rozwiązywaniu problemów świata".

Sztuka

✡ Wystawa polskiej sztuki współczesnej, ekspozycje drzeworytu i starej sztuki ludowej, ilustracje książkowe dla dzieci, wystawa teatralna i plakatu, występy wrocławskiego Teatru Laboratorium, Wielkiej Orkiestry Symfonicznej PR i TV, zespół jazzowy Kuryłewicza i występy solistów — to program imprez, które od końca sierpnia będą organizowane w Wielkiej Brytanii z okazji 25-lecia PRL.

✡ W wyniku obrad przedstawicieli związków plastyków radzieckiego i polskiego m. in. postanowiono ogłosić konkurs na plakat z okazji 25 rocznicy podpisania umowy o przyjaźni i współpracy wzajemnej między Polską a ZSRR.

✡ 11 współczesnych malarzy polskich weźmie udział w wystawie „Pejzaż polski", która jesienią zostanie otwarta w Chicago.

✡ W Zielonej Górze powstanie skansen, w którym znajdą się zabytki ludowego budownictwa drewnianego. Obok muzeum pracownia konserwatorska i warsztat ciesielsko-stolarski.

✡ 15 tysięcy osób zwiedziło w ciągu pierwszych czterech dni wystawę „Skarby sztuki starorosyjskiej" w Moskwie, na której zgromadzono ponad 1600 eksponatów.

✡ W duńskim mieście Helsingoer znaleziono w miejscowym kościele 4 obrazy z sygnaturą „Johan Simon Lobaczyński fecit". Nazwisko tego malarza jest w kraju zupełnie nie znane. Badania archiwalne wykazały, że Lobaczyński urodził się w Lidzie w r. 1665, a od 1695 r. mieszkał w Helsingoer, gdzie zmarł.

✡ Brytyjska National Gallery zapłaciła 409 500 funtów (prawie milion dolarów) za obraz Tiepolo „Wenus powierzająca Erosa Kronosowi".

✡ W Los Angeles odsłonięto pomnik „Pokój na ziemi". Przedstawia on olbrzymiego gołębia ważącego 10 ton.

✡ We wrześniu i w październiku odbędzie się we Florencji VI międzynarodowe biennale zbiorów antykwarycznych. Wszystkim wystawcom polecono zburzyć dotychczasowe stare sklepy i zbudować nowe pawilony.

Muzyka

✡ Łódzki Teatr Wielki zaprezentował w Tbilisi „Halkę", „Straszny Dwór" i „Pana Twardowskiego". Recenzje w prasie gruzińskiej były entuzjastyczne.

✡ Rzeźbiarka radziecka Katarzyna Biełaszowa przekazała Towarzystwu im. F. Chopina w Warszawie wykonaną w brązie rzeźbę wielkiego kompozytora.

✡ W Żelazowej Woli tuż obok dworku, w którym urodził się Fryderyk Chopin, odsłonięto pomnik wielkiego kompozytora dłuta niedawno zmarłego rzeźbiarza Józefa Gosławskiego.

✡ W Wilnie zakończył się zorganizowany z okazji 25-lecia PRL konkurs polskiej pieśni estradowej. Pierwszą nagrodę zdobył robotnik zakładów chemicznych L. Szumski.

✡ Na 15 występów zaprosiło kierownictwo opery angielskiej w Glydenbourne solistę Teatru Wielkiego w Warszawie Wiesława Ochmana, który śpiewa w „Don Juanie" Mozarta.

✡ Na konkursie skrzypcowym we Florencji pierwszą nagrodę zdobyła skrzypaczka radziecka Wiktoria Jakling.

✡ Olbrzymim powodzeniem w Sztokholmie cieszy się opera „Królowa Golcondy" Franza Berwalda, którego teraz nazywa się „szwedzkim Berliozem". Berwald zmarł przed 100 laty, napisał 6 oper, 6 symfonii, kilka operetek i wiele innych utworów, które zostały zupełnie zapomniane.

✡ Jeden z nowojorskich teatrzyków na Broadwayu przygotowuje na otwarcie sezonu nowy musical „Sparrow" („Wróbelek"), ukazujący życie Edith Piaf. W roli głównej wystąpi piosenkarka amerykańska Felicia Sanders.

✡ „Dotychczasowi słuchacze koncertów prawie wymarli, trzeba dopiero wychować nowe pokolenie, które chciałbym przekonać, że nie ma różnicy pomiędzy muzyką klasyczną a współczesną" — twierdzi nowy szef orkiestry filharmonicznej w Nowym Jorku Pierre Boulez.

Film

✡ Najstarszy człowiek świata 161-letni Mislimow będzie jednym z bohaterów filmu „Rok biologiczny", który powstaje w ZSRR.

✡ Monica Vitti po raz pierwszy wystąpiła jako aktorka komediowa w filmie Alberto Sordi „Moja miłość, pomóż mi". Pokazuje on kryzys małżeństwa pod wpływem moralności mieszczańskiej oraz zalewu erotyki w literaturze, filmie i telewizji.

✡ We Włoszech nakręcono film o legendarnym „Che" Guewarze. Ale tylko osaczenie i dobicie Guewary jak również cytaty z jego dziennika są prawdziwe.

✡ „Co zrobią nasi supermężczyźni pomiędzy dziewicami dżungli" — to tytuł jednego z nakręcanych we Włoszech filmów.

✡ Z okazji igrzysk Wspólnoty Brytyjskiej, które odbędą się latem 1970 r., rada miejska Glasgow zwróciła się do władz francuskich o wypożyczenie na wystawę obrazu „Joconda". Dyrekcja Luwru odmówiła, zasłaniając się możliwością uszkodzenia obrazu.

✡ Znany aktor filmowy Alain Delon zapłacił w Londynie 58 tys. funtów za akwarelę Alberta Durera. Jest to najwyższa cena, jaką kiedykolwiek zapłacono za dzieło tego artysty. Ta sama akwarela w 1881 r. została sprzedana za 79 funtów.

✡ Dyrektor Wiedeńskiej Orkiestry Filharmonicznej domaga się 100 tys. dolarów odszkodowania od towarzystwa lotniczego, które zagubiło walizkę z nie wydanymi dotąd utworami Mozarta.

✡ Jak wynika z wyjaśnień prokuratury południowokoreańskiej, za zachwalanie lub publiczne pokazywanie dzieł Picassa grozi w tym kraju kara do 7 lat więzienia. Oskarżono już wytwórcę papeterii, który używał nazwiska malarza na oznaczanie swoich wyrobów, podobnie krytyka sztuki, który powiedział, że pewne obrazy „są tak piękne jak dzieła Picassa".

✡ W Monte Carlo zawrzało. W „Sea Club" odbywał się specjalny program muzyczny dla zaproszonych gości. W trakcie koncertu minister stanu z ramienia rządu francuskiego wstał, powiedział głośno „nie chce być ani świadkiem ani wspólnikiem tej małpiej muzyki" i wyszedł.

✡ W więzieniu we włoskim miasteczku Rebibbia koło Rzymu odbył się festiwal piosenki. Pierwszą nagrodę zdobył więzień, skazany na 23 lat więzienia, Antoni Selis, za piosenkę o Robespierze.

✡ Dokładnie po 100 latach we Francji ukaże się ponowne wydanie „Pamiętników Napoleona".

Senta Berger urodziła się w Wiedniu, ale ma w sobie krew serbską i węgierską. Ma 22 lata i jako ruda z niebieskimi oczami zwróciła na siebie uwagę producentów z Hollywood, gdzie występowała w kilku filmach. Napisano o niej, że „jest najbardziej uroczym produktem, wyeksportowanym po wojnie przez Austrię".

13 lipca odbyła się w Lublinie promocja absolwentów Szkoły Oficerskiej Milicji Obywatelskiej w Szczytnie. Na zdjęciu komendant główny MO gen. bryg. dr Tadeusz Pietrzak dokonuje promocji.

CAF — M. Targoński

Notes „Kameny"

Mieczysław Jesion

TU NA STAREJ ZIEMI...

ROMUALD Wiśniewski skarży się, że trudno mu — z uwagi na długi cykl produkcyjny „Kameny" — pisać o festiwalu opolskim, który — gdy jego materiał ukaże się — zostanie już dostatecznie wyeksploatowany przez całą prasę. A co mam powiedzieć ja, komentujący tu od czasu do czasu w zastępstwie red. Józefa Bareckiego aktualne wydarzenia międzynarodowe? Aktualne są one dla mnie w tej chwili, ale gdy słowa te dotrą do czytelnika będą stanowić przysłowiową musztardę po obiedzie!

Te uwagi nasunęły mi się szczególnie wczoraj, 16 lipca, gdy obserwowałem w telewizji moment startu „Apollo 11". Sądzę, że księżycowy finał otworzy jednocześnie nowy etap w penetracji Kosmosu. Oczywiście z góry zakładam, że ten wielki eksperyment zakończy się powodzeniem, czego zresztą z całego serca życzę dzielnym kosmonautom amerykańskim.

Tymczasem Związek Radziecki, kilka dni przed lotem „Apollo 11", wystrzelił w kierunku księżyca „Łunę 15", która stała się sztucznym satelitą Srebrnego Globu. Na marginesie tego wyczynu zachodnioniemiecka „Die Welt" stwierdziła, *że od lat radziecka nauka kosmiczna odrzuca ideę wyścigu z Amerykanami mającego za cel lądowanie człowieka na Księżycu. Zamiast tego dała ona pierwszeństwo badaniom Księżyca za pomocą stacji bez załogi ludzkiej z tym także uzasadnieniem, że wysłanie człowieka związane jest jeszcze ze zbyt dużym ryzykiem.*

Nawet pobieżne porównanie amerykańskiego i radzieckiego planu podbijania Kosmosu wykazuje duże różnice. Radziecki plan — mówią o tym statki skierowane na Wenus i Marsa — jest wszechstronny, wielokierunkowy i perspektywiczny, obliczony nie na doraźne efekty psychologiczne. Natomiast plan amerykański zakładał penetrację Srebrnego Globu łącznie z wylądowaniem na nim człowieka, oczywiście obywatela USA. Miałoby to przełamać w społeczeństwie amerykańskim pewien kompleks niższości, który trwa od czasu pierwszego radzieckiego sputnika, lotu Gagarina i „Łunnika 1". Ale co dalej? Już dziś niektórzy poważni komentatorzy amerykańscy przewidują, że po udanym eksperymencie z „Apollo 11", gdy cel przede wszystkim psychologiczny zostanie osiągnięty, zainteresowanie dalszą penetracją Kosmosu znacznie spadnie, w związku z czym zmniejszy się również suma pieniędzy przeznaczana na ten cel...

Piszę o tym, ale proszę mnie nie podejrzewać, że mam zamiar umniejszać znaczenie lotu „Apollo 11". Prawie od 12 już lat bacznie śledzimy sukcesy ZSRR i USA w Kosmosie, widząc w nich przede wszystkim sukcesy Człowieka, ukoronowanie drogi, jaką Człowiek przeszedł w ciągu stuleci. W ostatnich 100 latach ten marsz Człowieka stał się daleko szybszy. Szkoda jednak, że tak ciągle daleko do uregulowania spraw ziemskich. Punktów zapalnych na naszym niebieskim globie (niebieskie są przynajmniej zdjęcia Ziemi dokonane z wielokilometrowej odległości) ciągle nie brakuje, liczba ich nawet się zwiększa zamiast procesu odwrotnego.

Na ostatniej sesji Rady Najwyższej ZSRR minister spraw zagranicznych Związku Radzieckiego, Andrzej Gromyko, lepiej unaocznił obecną sytuację międzynarodową. Poświęcając wiele uwagi spornym problemom, min. Gromyko jeszcze raz przedstawił aktualną politykę radziecką, mającą na celu przede wszystkim pokój i bezpieczeństwo świata. Radziecki minister z całą mocą podkreślił, że przerwanie wojny w Wietnamie i polityczne uregulowanie kwestii wietnamskiej w znacznym stopniu uzdrowiłoby całą sytuację międzynarodową. *Dopóki trwa wojna, stale istnieje groźba rozszerzenia konfliktu z jeszcze bardziej poważnymi konsekwencjami.*

Obok Wietnamu drugim punktem zapalnym jest Bliski Wschód. *Pokładanie nadziei* — mówił min. Gromyko — *jak to czynią w Izraelu w przewadze militarnej nie jest polityką dalekowzroczną. Jedynie właściwą drogą byłoby rozwiązanie problemu na podstawie wyzwolenia okupowanych terytoriów spod dominacji wojsk izraelskich, przy jednoczesnym uznaniu praw wszystkich państw Bliskiego Wschodu, m. in. również Izraela, do niezawisłego bytu narodowego i ustanowienia w tym ważnym rejonie trwałego pokoju.*

ZSRR, W. Brytania, USA i Francja wymieniają poglądy na temat uregulowania problemu bliskowschodniego. *Chcielibyśmy* — stwierdził min. Gromyko — *aby rząd USA, na którego polityce opiera się Izrael, zajął w tej kwestii bardziej realistyczne stanowisko.* Nie można bowiem dopuścić, *aby państwo, które dokonało agresji na inne kraje... kontynuowało okupację, brutalnie ignorując Kartę ONZ i odpowiednią uchwałę Rady Bezpieczeństwa.*

Wiele uwagi poświęcił min. Gromyko sprawom europejskim. *Każdy mieszkaniec Europy* — mówił — *wie obecnie, że w wyniku II wojny światowej szereg państw kontynentu istnieje w innych granicach niż przed wojną. Te sprawiedliwe granice, w tym granica na Odrze i Nysie i granica między obu państwami niemieckimi, są ważną gwarancją bezpieczeństwa w Europie.*

Charakteryzując politykę NRF min. Gromyko zwrócił uwagę na aktywizację sił nazizmu, których nie można lekceważyć. Niemniej podkreślił, że w trosce o bezpieczeństwo Europy, *rząd radziecki gotów jest do kontynuowania wymiany poglądów z rządem NRF w sprawie wyrzeczenia się użycia siły...*

Sporo miejsca w przemówieniu radzieckiego męża stanu znalazł też problem stosunków radziecko-chińskich. Ten jednak wymagałby osobnego omówienia.

Prasa zachodnia z dużym zainteresowaniem przyjęła wystąpienie min. Gromyki. Powszechnie podkreśla się, że powinno ono zostać odczytane w USA jako wyraźna zapowiedź osłabienia napięcia w stosunkach Wschód-Zachód. Wykazało ono gotowość ZSRR do prowadzenia szerokich konsultacji i negocjacji z USA. „Christian Science Monitor" pisze, że po *ćwierćwieczu zamętów i sporów supermocarstwa mają szansę, by przystąpić do budowy fundamentów światowego pokoju.*

Budować jest na pewno trudniej niż burzyć. Ludzkość chciałaby jednak żyć spokojnie. Tu, na Starej Ziemi...

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

✡ Teatr Dramatyczny im. Al. Węgierki wystawia „Pana Jowialskiego" Fredry w reżyserii Bronisława Orlicza. Scenografię opracowała Wanda Czapianka.

✡ W salonie wystawowym ZPAP staraniem białostockiego Oddziału ZPAP i BWA zorganizowano wystawę rysunku i grafiki Marii i Antoniego Żabskich.

✡ Teatr Ziemi Łódzkiej występował gościnnie w Białymstoku z komedią Hałuckiego „Radcy pana radcy".

✡ Muzeum Ruchu Rewolucyjnego w Białymstoku przygotowało ekspozycję, obrazującą dorobek województwa w zakresie oświaty, nauki i kultury w 25-leciu PRL. Oprawę plastyczną opracowała Dorota Łabanowska.

KIELCE

✡ Doroczną nagrodę Klubu Publicystyki Polityczno-Społecznej i Publicystyki Prawnej Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich otrzymał Ryszard Podlewski z kieleckiej rozgłośni Polskiego Radia.

✡ Na zaproszenie KM PJN, w Kielcach przebywał I sekretarz ambasady DRW w Polsce, Vu Bach Mai. Na spotkaniu z przedstawicielami kieleckich zakładów pracy gościowi przekazano dary dla narodu wietnamskiego, m.in. dwa motocykle „Gazella".

LUBLIN

✡ Na Lubelszczyźnie przebywał Reprezentacyjny Chór Ministerstwa Zdrowia Bułgarskiej Republiki Ludowej „Rodina" z Sofii. Goście koncertowali w Biłgoraju, Lublinie i Zamościu. Członkami chóru są lekarze, pielęgniarki i farmaceuci; soliści to m.in. doc. dr Rosen Iwanow z Instytutu Ortopedii w Sofii, dr Iwan Achczijski i dr Mikołaj Hadżikolew. Kierownikiem artystycznym chóru jest Angel Monolow, zasłużony artysta BRL, laureat nagrody państwowej, kawaler Orderu Cyryla i Metodego I stopnia, dyrygentem dr Georgij Dżubelijew, znany bułgarski kardiolog, prezydentem dr Mincio Nikow. Chór „Rodina", powstały w 1954 roku, ma w swoim repertuarze ponad 80 utworów kompozytorów bułgarskich i obcych, klasycznych i współczesnych. W czasie pobytu w Polsce zaprezentował program złożony z 22 pieśni.

✡ Orkiestra ludowa z Majdanu Grabiny w powiecie krasnickim, której kierownikiem jest Jan Ligaj, obchodziła 50-lecie działalności. Z okazji jubileuszu władze powiatowe ofiarowały zespołowi stroje wartości 30 tys. złotych.

✡ Lubelski plastyk, Władysław Filipiak, jest twórcą mozaiki na ścianie krytej pływalni Klubu „Avia" w Świdniku. Mozaika o powierzchni 90 m. kw. składa się z 32 tysięcy barwnych płytek.

✡ W Muzeum Okręgowym w Lublinie otwarto wystawę p.n. „Pieniądz Polski Ludowej", zaś w salach Wojewódzkiego Ośrodka Propagandy Partyjnej ekspozycję książek pod hasłem „Zaczęło się w Lublinie". Obejrzeć na niej można m. innymi pierwsze książki wydane przez „Czytelnika", drukowane w Lublinie.

RZESZÓW

✡ Uczestnicy Światowego Festiwalu Zespołów Polonijnych występowali w wielu miastach województwa, spotykając się wszędzie z niezwykłą serdecznością. Odbyło się również sympozjum dziennikarzy na tematy: „Rola prasy krajowej w oświetleniu problemów polonijnych" oraz „Prasa polonijna w świecie". O samym Festiwalu napiszemy obszerniej w następnym numerze.

✡ W kilku miastach wystąpił zespół pieśni i tańca Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej. Na koncert w Jarosławiu przybyło 4 tys. widzów, w Rzeszowie 8 tys.

✡ W konkursie czytelniczym, ogłoszonym z okazji Dni Rzeszowa, najbardziej popularnym z pisarzy, związanych z woj. rzeszowskim, okazał się Jan Gerhard, głównie dzięki książce „Łuny w Bieszczadach".

Wywiadowczo - dywersyjna grupa Wojska Polskiego (I)

CICHOCIEMNI spod lubelskiego nieba

Jerzy Dostatni

Plutonowy Kazimierz Cieliszak (z lewej) razem z kolegą, Kamińskim. Zdjęcie wykonano w Lublinie w ostatnich dniach lipca 1944 r. u fotografa ulicznego.

SWOJĄ działalność wywiadowczo - dywersyjną w służbie odrodzonego Wojska Polskiego, przerzuceni w największej tajemnicy poza linię frontu, mieli rozpocząć w mroźną noc z 13 na 14 stycznia 1945 r., dzień po rozpoczęciu wielkiej ofenzywy z przyczółków nad Wisłą. Ale fatalne warunki atmosferyczne spowodowały, że dwukrotnie zawracali. Skakali dopiero za trzecim razem. W chwili przelotu nad linią frontu artyleria przeciwlotnicza radziecka i niemiecka waliły wściekle Co samolotu, od czasu do czasu chwytanego przez smugi reflektorów. Lot odbywał się w największej tajemnicy, wiedziało o nim zaledwie kilku wysokich oficerów w sztabach. Własnej artylerii, oczywiście, nie uprzedzano, bo jej milczenie mogło być wskazówką dla wroga, że dzieje się coś podejrzanego. Za zgodą zainteresowanych podjęto więc wielkie ryzyko: jeżeli przelecą cało — wypełnią swoją misję, jeżeli zostaną zestrzeleni przez własną artylerię — mówi się trudno, wojna nie jest zabawą, pociąga za sobą ofiary. Tym razem kandydatów na samobójców było ośmiu: pięciu ochotników Wojska Polskiego i trzech pilotów radzieckich.

Przelecieli szczęśliwie, chociaż kilka odłamków uszkodziło skrzydła i kadłub. Potem skoczyli kolejno w ciemną, mroźną przepaść i rozpoczęli akcję, która miała ułatwić posuwanie się na zachód wojsk polskich i radzieckich.

Ale cofnijmy się w czasie, bo cała sprawa spadochronowej grupy „Wisła", a przede wszystkim jej dowódcy, naówczas plutonowego, dziś magistra inżyniera i dyrektora Przemysłowego Instytutu Telekomunikacji w Warszawie, była i jest ściśle związana z Lublinem, Zamościem i Białą Podlaską.

Kazimierz Cieliszak urodził się i kilkanaście pierwszych lat życia spędził we Włodzimierzu Wołyńskim. Na Lubelszczyźnie znalazł się po raz pierwszy 10 czerwca 1944 r., przepływając pod Włodawą Bug jako partyzant 27 dywizji AK.

— Nasza dywizja przez jakiś czas przebywała w lasach parczewskich — wspomina inż. Cieliszak, którego odwiedziłem w jego warszawskim mieszkaniu. — Potem, okrążeni, przebijaliśmy się w kierunku Kocka i Firleja. 24 lipca przeszła linia frontu. Mój batalion zajął Kock. Weszliśmy do miasteczka przemoknięci do suchej nitki. Biły dzwony, w lufach i za pasami naręcza kwiatów, rzucane nam przez ludność. Byliśmy przecież pierwszymi polskimi żołnierzami, którzy po pięciu latach maszerowali przez miasto. Jako dowódca drużyny ubezpieczałem szosę z kierunku Dęblina, z trudem utrzymując chłopaków, porywanych przez mieszkańców.

W drodze do Puław były dowódca batalionu „Sokół" oświadczył: — Niech każdy robi, co chce. Widział zresztą, że co chwila ktoś się urywa na własną rękę.

Ja z kolegą Kamińskim udałem się do Lublina. Tu 26 lipca przeczytałem ogłoszenie o werbowaniu ochotników do służby porządkowej. Dowództwo tej służby mieściło się przy ul. Ewangelickiej (dziś Waryńskiego — przyp. J. D.), kwaterę wyznaczono mi przy ul. Orlej 8 lub 10, dokładnie już nie pamiętam. Porządkowaliśmy najpierw ul. Spokojną (dziś 22 Lipca — przyp. J. D.), gmach PKWN. W jednym z dalszych budynków znaleźliśmy ukrytych dwóch żołnierzy niemieckich, którzy czekali nie wiadomo na co. W budynku, gdzie dziś mieści się Wydział Prawa UMCS, znaleźliśmy wiele map poniemieckich, które bardzo przydały się naszym władzom. Uprzątałem także pomieszczenia na Zamku. Na własne oczy widziałem stropy, przez które przeciekała krew pomordowanych przez Niemców więźniów. Byłem członkiem eskorty, prowadzącej morderców z Majdanka na salę rozpraw w Domu Oficera. Zabezpieczałem garbarnie. Kilka razy budzono nas w nocy, ponieważ rzekomo ktoś dawał znaki latarką lotnikom niemieckim, jeszcze zapędzającym się nad Lublin.

Kiedyś na ul. Orlej doszło do starcia z patrolem, podległym Delegaturze londyńskiej. Nas było trzech, ich kilkunastu, zresztą nie było sensu prowadzić bratobójczej walki. Ich dowódca wyrzucał mi, że jestem zdrajcą AK, groził sądem wojennym — ostatecznie jednak rozeszliśmy się każdy w swoją stronę. Odnalazła się także moja rodzina, w której przekonaniu dawno już byłem pochowany.

Któregoś dnia w budynku dzisiejszego szpitala przy ul. 22 Lipca polecono mi zaprowadzić do ubikacji jakiegoś samozwańczego wojewodę czy wicewojewodę lubelskiego. Stanąłem pod drzwiami ściskając broń, ale nie zorientowałem się, że mógł uciec przez otwarte okno. I uciekł rzeczywiście, ginąc w chaszczach za skarpą. Skończyło się na solidnym opeerze, które otrzymałem od dowódcy. Ale ja się czułem bardzo głupio, bo niektórzy zaczęli gadać po kątach, że jako dawny skoczek puściłem go celowo. Pragnąc uniknąć dalszych komplikacji, stanąłem do raportu meldując, że chcę iść na front.

I tak plutonowy Cieliszak znalazł się na terenie dawnego obozu na Majdanku, gdzie został przydzielony do formującego się 8 zapasowego pułku piechoty. Nie wiadomo dlaczego żołnierze zaczęli go tytułować „obywatelem podchorążym". Zapewne to spowodowało, że po kilku dniach otrzymał niezbyt zresztą formalną nominację na kogoś w rodzaju pomocnika szefa sztabu batalionu. Dowódcą tego batalionu był kapitan, z zawodu literat, niestety przyszły spadochroniarz nie pamięta jego nazwiska. Batalion liczył już 200 ludzi, przeważnie byłych partyzantów i ochotników. Oczywiście mundury na pół polskie, na pół radzieckie, broń wyłącznie radziecka.

Pewnego dnia do dowództwa przyjechało kilku oficerów polskich. Jeden z nich zapytał Cieliszaka, czy Niemcy są tak straszni, że kule ich się nie imają? Zaprzeczył gwałtownie, chociaż pytanie wydało mu się co najmniej dziwne. Indagacja zakończyła się propozycją: w jakiego rodzaju oddziale chciałby służyć? Był jeszcze bardziej zdziwiony, ale odpowiedział po prostu: aby dobrze bić hitlerowców. Gdy okazało się, że doskonale przetłumaczył jakiś tekst niemiecki, jeden z oficerów polskich oświadczył: — Mamy dla was lepsze zajęcie.

Podobnie przebiegały rozmowy z kilku innymi żołnierzami.

Nikt z pytanych nie miał pojęcia, o co chodzi. W młodych głowach zaczęły się rodzić różne przypuszczenia, najbardziej dziwaczne i światoburcze. Ale niedaleka przyszłość pokazała, iż rzeczywistość była jeszcze bardziej niezwykła.

Pewnego dnia Cieliszakowi i jego dwom kolegom wydano w batalionie nowe, oficerskie sorty mundurowe, po prostu kazano im przypiąć gwiazdki podporuczników i zameldować się w budynku, zajmowanym dziś przez Kuratorium (lub obok, gdzie mieści się WKKFiT — mój rozmówca już dokładnie nie pamięta). Tam otrzymali najbardziej autentyczne dokumenty na nazwiska: Kazimierz Cieliszak, dowódca grupy — Stanisława Leszczyńskiego, jego zastępca Józef Kuriata — (od 1942 r. walczył w partyzantce radzieckiej na Polesiu) — Józefa Dąbrowskiego, a Franciszek Mazurkiewicz, radiotelegrafista, przeszkolony już w Wojsku Polskim, nazywał się odtąd Roman Zamojski. Później dołączył jeszcze „Poniatowski". Wyznaczono im prywatną kwaterę przy ul. Leszczyńskiego u dwóch starszych pań, które nie mogły wyjść z podziwu, że w demokratycznym wojsku służą oficerowie o tak arystokratycznych nazwiskach, dzięki czemu zresztą mieli wszelkie dostępne wówczas wygody. Nazwiska zaś wzięły się stąd, że oficerowie wywiadu radzieckiego musieli m.in. obowiązkowo czytać polską literaturę klasyczną. No i z tych książek wzięli pierwsze lepsze nazwiska.

Teraz zaczęło się bardzo intensywne szkolenie, które trwało dwa miesiące. Strzelanie, głównie z broni krótkiej, wiadomości o organizacji armii niemieckiej, technika wywiadu, umiejętność posługiwania się sprzętem łączności, szyfrowanie wiadomości. I nauka skakania ze spadochronem — wyłącznie w teorii.

Jak się okazało, i oficerowie wywiadu tak jak inni nie znali terminu rozpoczęcia nowej ofensywy, albo też umieli zachować doskonale tajemnicę. Pierwotnie bowiem grupa desantowa miała zeskoczyć tuż za frontem niemieckim, w rejonie Skierniewic i Sochaczewa.

Sylwester roku 1944 miał być jednym z ostatnich dni, spędzonych w Lublinie. Z tej okazji oficerowie urządzili wieczór, szczególnie obficie zaopatrzony w alkohol. Do kwatery przy ul. Leszczyńskiego przyjechało niemal całe kierownictwo wywiadu sztabu WP pod dowództwem płka Domorawskiego (chyba też pseudonim?). Na kilkanaście osób było 10 litrów czystego spirytusu. Goście stale prowokowali do picia, pilnując dokładnie, aby wypróżniać kieliszki. Ale nasi pamiętali dobrze, czego ich ci sami oficerowie uczyli. Chodziło o to, aby udając picie, lub wychodząc co pewien czas do ubikacji niby w wiadomej sprawie — zachować lub przywrócić pełną trzeźwość umysłu. Agent wywiadu i dywersant bowiem nie może odróżniać się od towarzystwa, a jednocześnie ani na sekundę stracić pełnej kontroli nie tylko nad ciałem, ale i nad umysłem. Jak się okazało, był to rzeczywiście praktyczny egzamin, który wszyscy członkowie grupy zdali bez zarzutu.

Przygotowany już desant w rejonie Sochaczewa musiał być, oczywiście, natychmiast skierowany na inne miejsce, gdy tylko ruszyła ofensywa. Nowy rejon wyznaczono między Magdeburgiem a Brandenburgiem, a więc daleko na zapleczu wroga. Ale właśnie tam potrzebne było ich działanie. Tej samej nocy startowała z tego samego lotniska inna grupa dywersyjno-wywiadowcza, złożona zresztą wyłącznie z żołnierzy radzieckich. Gdzie i co mieli wykonać — nie wiadomo. Przygotowywane były także inne grupy polskie, które w następnych dniach i tygodniach lądowały poza linią frontu. Oczywiście jedne o drugich nic nie wiedziały — i dziś zresztą wiadomości na ten temat są bardzo skąpe.

Samolot „Li", dosyć miernie uzbrojony i bez pancerza na kadłubie, obładowany zapasami benzyny oraz spadochronami i zasobnikami wyposażenia naszych cichociemnych, ciężko oderwał się od ziemi, pokrytej grubym śniegiem, z grubsza tylko usuniętej z pasa startowego. Mróz przekraczał 20 stopni. Było to 23 stycznia 1945 r., pod Białą Podlaską.

Wskutek częściowego uszkodzenia samolotu, a także fatalnych warunków atmosferycznych, zrzut nastąpił zbyt wcześnie — w Puszczy Lubuskiej, na zachód od szosy Lubsko—Bobrowice (wówczas Sommerfeld—Bobersberg). Tu też ziemię pokrywała gruba warstwa śniegu, nad którą wyrastały wysokie pnie sosen. Dwóch spadochroniarzy zawisło na koronach drzew, musieli więc przeciąć linki spadochronów, aby zeskoczyć na ziemię, a potem namęczyć się, aby spadochrony zwinąć — nie można było wrogom zostawiać takiej „wizytówki".

Sytuacja była bardzo ciężka. Zupełnie nie znany teren, do którego nie było przecież ani jednej mapy. W dodatku zasobnik z wyposażeniem zrzucony na osobnym spadochronie, rozbił się o ziemię, udało się zebrać jedynie część materiału wybuchowego, amunicji i konserw. Z trudem po trzech godzinach nawiązano łączność radiową ze sztabem, z trudem — bo wskutek silnego mrozu baterię trzeba było podgrzewać przy ognisku, co przecież nie należało do rzeczy bezpiecznych. Pogratulowano skoczkom pomyślnego lądowania, ale długo nie chciano im wierzyć, że wylądowali nie tam, gdzie należało. W końcu rozkazano: maszerować na zachód. Gdy grupa znalazła się w rejonie Nysy Łużyckiej, nadszedł drogą radiową nowy rozkaz: działać w rejonie Zasieki—Gubin—Lubsko.

Działać, to znaczyło przede wszystkim zbierać informacje. Ale nie tylko. Bywało, że czasem dla obrony lub uzyskania odpowiednich informacji trzeba było sięgać po broń i likwidować wroga. Bywało, że trzeba było we własnym zakresie przeprowadzić akcję sabotażową, szczególnie dotkliwą dla nieprzyjaciela. Trzeba było się ukrywać tak, aby nie pozostał nawet ślad śladu, aby oddziały śledcze, złożone ze specjalnie szkolonych żołnierzy, wspomagane przez miejscową ludność należącą do Volkssturmu, dysponujące tresowanymi psami, mające do dyspozycji radiopelengatory, nie wykryły nic podejrzanego. Innym razem trzeba było w przebraniu dotrzeć do Polaków, przebywających na robotach przymusowych w Niemczech, bądź też zmieszać się z tłumem niemieckich uciekinierów i słuchać, obserwować, notować w pamięci, a potem przekazać przez radio do sztabu. A sytuacja z dnia na dzień stawała się bardziej niebezpieczna, bo wśród Niemców narastała plotka, że w tym terenie działa jakaś grupa partyzantów, co z kolei prowadziło wysyłanie wciąż nowych oddziałów policyjno-śledczych.

Po 24 latach inż. Kazimierz Cieliszak tak ujmuje najważniejsze działania w piśmie, przechowywanym obecnie w archiwum Zarządu Głównego ZBoWiD w Warszawie.

Do istotniejszych efektów działalności grupy można by m. in. zaliczyć:

— wykrycie przerzutu dużych jednostek pancernych armii Rundstedta z frontu w Ardenach na osłonę Berlina, za co grupa otrzymała drogą radiową specjalne podziękowanie dowództwa radzieckiego i polskiego;

— rozpoznanie niemieckich umocnień i zaminowanych obiektów nad Nysą Łużycką;

— zlokalizowanie w lasach w rejonie Gubina kompleksu obiektów i urządzeń dywizji Panzergrenadiere „Grossdeutschland";

— wysadzenie w powietrze kolejowego transportu wojskowego ok. 7 km na północny zachód od Sommerfeld (Lubsko — przyp. J. D.). Spowodowano tym znaczne straty w sprzęcie i w ludziach wroga. Przerwa w ruchu trwała prawie 3 doby. Na dalsze akcje minerskie zabrakło materiałów wybuchowych;

— systematyczne kontrolowanie i rejestrowanie ruchu transportów kolejowych i samochodowych;

— zebranie informacji o przemyśle zbrojeniowym (produkcja części do samolotów i łodzi podwodnych, sprzętu artyleryjskiego, amunicji, wyrobów chemicznych itp). Wyrabiano je w niby cywilnych fabrykach, produkujących rzekomo kapelusze, obuwie i tekstylia. Nie wszystkie materiały, dostarczone przez współpracujących Polaków, zatrudnionych w tych fabrykach (np. plany i rysunki techniczne), mogły być w pełni wykorzystane wobec istnienia tylko łączności radiowej.

Grupa dostarczyła ponadto szereg informacji, dotyczących życia za frontem, wyników bombardowań itp. W przypadkowych starciach zlikwidowano kilku Niemców z organizacji paramilitarnych. Akcje te, jak też nieuniknione rekwizycje żywności i baterii do radiostacji, wywoływały wśród Niemców paniczne nastroje...

W archiwach wojskowych zachowały się do dzisiaj tylko bardzo nieliczne dokumenty, związane z działalnością grupy „Wisła" czy jej podobnych. Oto dla przykładu jeden z meldunków, nadany 15 lutego 1945 r. przez radiotelegrafistę Fr. Mazurkiewicza.

Między rzeką Neisse (Nysą — przyp. J. D.), szosą i drogą kolejową, 7 km na płn. od Guben, rozmieszczone lotnisko nplo, a na nim 32 „Me-109" (myśliwce „Messerschmitt" z silnikiem tłokowym — przy. J. D.) *i „He-126"* (bombowce „Heinkel" — przyp. J. D.).

Po szosie Guben—Kanig w kierunku na wschód przejechało: 6 dział szturmowych „Ferdynand", 60 samochodów z piechotą i 30 samochodów z amunicją i benzyną. W kierunku zach. na Guben — ruch kolumn cofającej się piechoty nplo.

Jak wiemy, front szybko przesuwał się na zachód i w końcu lutego grupa „Wisła" znalazła się na terenach wyzwolonych. Przez Frankfurt nad Odrą, Częstochowę i Łódź bez strat w ludziach, natomiast z dużymi osiągnięciami, które stanowiły cząstkę całego wysiłku wojennego Armii Radzieckiej i Wojska Polskiego, zameldowała się w sztabie, znajdującym się we Włochach pod Warszawą. Na tym zakończył się pierwszy okres jej wywiadowczo-dywersyjnej działalności, której początki narodziły się dosłownie pod lubelskim niebem. W następnym numerze o działalności drugiego okresu, obecnych powiązaniach inż. Cieliszaka z Lublinem i Zamościem, a także o moim spotkaniu już z porucznikiem Cieliszakiem na statku S/S „Preussen" w grudniu 1945 r.

Stanisław Ilków

Brzeska zima

W takie noce
gdy na strzępach mrozu
sine niebo trzeszczy w powałach
idę d a w n y do Ciebie
nagim wiatrem podszęty
a w dłoniach jeszcze niosę
skrzypiący oddech śniegu.

Zobacz —
miasto ruin i pajęczyn strachu
wież muzeów i miedzianych dzwonów
krwawiące wiosenną czerwienią dachówek
(okruchy historii przez zamieć roznoszone
rozbiegane w rudym kłębowisku murów
i tysiącu białych wąziutkich uliczek)
— a tak chłonie do nas zapachem kamienia
jakby słońce miało jutro doszczętnie
wygasnąć

kto tam bije na trwogę
w te spękane dzwony?

Brzeg

Tadeusz Machnowski

Cieniem do słońca

O wyławiać mi ciągle wyławiać
w wierzbowym słońcu zielone okonie
umajać mi zawsze myśli nad potokiem
skrzące jak ryby — jak ryby strzeliste.

O cień skądś nadszedł pozamykał wody
otworzył oczy na złudne promienie
zapuściłem pędy nie swoim ogrodem
idąc do słońca coraz dłuższym cieniem.

Drwalew

Stanisław Matys

czuwanie

w listowiu szumiał świt
świst ptaków skrzypiał w drzewach
wokół jaskiń rogi kły
czerwone oczy w nas wpatrzone
a my bez snu
odziani w mierzwę rudych bród
ważyliśmy topory w dłoniach
kobiety nasze
z liści mchu
w posłaniach brzuchy wygrzewały
a my bez tchu
zgarniając mierzwę rudych bród
pochyliwszy łby
ruszyliśmy na łowy

Białystok

Franciszek Brataniec

Przeznaczenie

Niebo nad polem w dostojnej żałobie
chmury przewożą na tamten świat
a konie ciągną swoje przeznaczenie
i ziarnem nadziei wystożony wóz
Stanąłem tutaj
Ziemia dymiła u moich nóg
gdy wiatr mnie wyświęcał na kapłana pól

Potem poszedłem z krzyżem na ramieniu
a wśród przechodniów nie było Szymona

Kraków

„Godzina W"

Dokończenie ze str. 1

ludzi, strzały nie były pojedyncze lecz ciągłe, najwyraźniej terkotał karabin maszynowy. Zaczęło się! Zaczęło się, a my tu, bez naszych przydziałów, nie na punktach, zostawieni samym sobie jak wielu spośród siedzących obok, zaniepokojonych ludzi. Zauważyłam Niemców biegnących pod oknami z karabinami w ręku. Uciekali czy nacierali? Strzały rozbiły szybę, brzęk, trzask, błysk, ludzi ogarnęła panika, poczęli cisnąć się ku drzwiom, prowadzącym do wewnętrznego podwórka i piwnicy.

— Słuchajcie, tam naprzeciw, pod numerem 29 mieszka przecież Leon — powiedział Roman — musimy się tam dostać, nie możemy tu tkwić.

— To się dostań — rzekł Zbyszek, wskazując na ulicę, objętą strzałami i ogniem.

A jednak przecież naprawdę trzeba było stąd wyjść, bo musieliśmy w jakiś sposób dojść do naszych punktów powstańczych. W bramie stał niemiecki żandarm, a w kącie leżały czyjeś zwłoki broczące krwią. Żandarm nie wypuszczał absolutnie nikogo, zasłaniając sobą wejście. Stałam za nim, patrząc na wciąż powiększającą się kałużę krwi, sięgającą już mych stóp. Roman powziął plan przebiegnięcia przez ulicę i pertraktował z żandarmem, który przyglądał mu się zirytowany jak zupełnemu szaleńcowi. Wreszcie powiedział: „Zur Ihrer Antwortung" i odsunął się, by nas przepuścić. Wypadliśmy z bramy, nie zważając na bzykanie kul. Zdawało mi się, że owe kulki błyskają czerwono, czerwień miałam w oczach, pustkę w mózgu, nogi niosły mnie same, a właściwie chyba fruwałam, bo w tak błyskawicznym czasie można tylko przefrunąć taką przestrzeń, byliśmy już po drugiej stronie, w bramie domu, w którym mieszkał Leon. Był to znajomy Halszki i Romana, rozgościliśmy się w jego mieszkaniu, obmyślając dalszy plan.

Sprawa była trudna. Ta część Alei była w rękach Niemców, w ogóle właściwie nie wiedzieliśmy, co się działo, gdzie byli powstańcy, jak dostać się do nich. Roman i Zbyszek wyszli na zwiad. Okazało się, że mieszkańcy domu już robią przekop piwnicami na ulicę Nowogrodzką, która podobno jest w naszych rękach. Polepszają nam się humory. Zbyszek kreśli nawet jakiś żartobliwy wierszyk pt. „ Z objęć Mieczysławy do Sławy": „Przed pięcioma minutami ogień jej uścisków, a teraz sława, twarda, żołnierska, pieczętowana krwią. Żegnaj Mieczysławo! Naprzód!".

Ale nasza radość jest przedwczesna. Rano wpadają na podwórze Niemcy, kolbami wypędzają wszystkich z mieszkań, stłaczają w suterenie dozorcy i podpalają dom. Stoję obok Halszki, wciśnięta w kąt między szafą a łóżkiem, patrząc z rosnącą grozą na kłęby dymu, walące z okien oficyny. A jeśli chcą nas tu spalić żywcem? Dym zaczyna szczypać w oczy i w gardło, staje się coraz ciemniejszy, spowija wszystko w czarny woal. Niemiec wepchnął w drzwi jakiegoś rannego. Stary człowiek o twarzy koloru wosku, chwieje się, mdleje, a może już umiera. Inny, młodszy, ma rozszarpaną rękę, nie owija jej niczym, krew obryzguje mu marynarkę. Dozorczyni lamentuje, kobiety płaczą i modlą się, z dymu za oknem wyłania się płomień, jego czerwone języki dosięgną za parę chwil naszej sutereny. Ludzie chcą wyważyć drzwi. Strach przed spaleniem żywcem jest tak ogromny, że wobec niego nikt nie lęka się kul. Jest mi słabo, nie ma czym oddychać, gorąco obejmuje nas wolno i nieustępliwie.

Nagle rozwierają się drzwi i Niemcy wypędzają nas w sam środek płomieni. Błyskawicznie oddzielają mężczyzn od kobiet. Mężczyzn ustawiają pod murem, kobietom pozwalają wyjść na ulicę. Rozlegają się rozpaczliwe krzyki, kobiety nie chcą opuścić mężczyzn, ciągniemy z Halszką Romana i Zbyszka, wypadamy z bramy, kule obijają się o mur, pędzimy przytuleni do muru, kule pędzą za nami, gna za nami natrętny, wielki, czerwony szlak kul.

Gdy jesteśmy u kresu sił, gdy już nie jestem pewna czy biegnę naprawdę i czy do mnie strzelają, czy też do kogoś, kto mną być przestał, wciągają nas nagle w głąb jakiejś bramy czyjeś ręce. Spostrzegam biało-czerwone opaski na rękawach i poddaję się ufna czyimś ramionom, nie widząc już nic, bezpieczna, wracająca do życia.

* * *

Znajdujemy z Halszką chwilową gościnę w mieszkaniu dozorcy. W całym domu pełno zabłąkanych ludzi, których wybuch powstania zastał na mieście lub w drodze na punkt. Z tego powodu panuje chaos i dezorientacja, placówki werbunkowe przyjmują w pierwszym rzędzie mężczyzn, jestem zgnębiona tym bezrobociem, przecież gdybym znajdowała się wśród swoich dziewcząt, byłabym już prawdziwym powstańcem.

Na razie pomagam budować barykady. Jedną z nich, przy Nowogrodzkiej, wznosimy nocą. Ta ciemność, przerywana tylko gdzieniegdzie jakimś słabym poblaskiem, nadaje pracy charakter jakiegoś tajemniczego obrzędu, jak by cienie wznosiły stosy ofiarne. Wyrywam płyty z chodnika, wyszarpuję ziemię, śpieszę się, ranię ręce. Kobiety wynoszą z mieszkań jakieś sprzęty, meble, dzieciaki pomagają, układając na rosnącym stosie jakieś skrzynki i stołki. Wszystko odbywa się w ciszy, bo niedaleko stąd czuwają Niemcy. Ulice zmieniają wygląd. Stają się płaszczystymi drogami, bo zerwano z nich trotuary. A także pod wszystkimi domami powstają podziemne przejścia, łączące piwnice. Powstańcy z biało-czerwonymi opaskami wydają rozkazy i kierują ruchem ludności przy barykadach, uśmiechają się, radość błyszczy w ich oczach.

Powoli uspokaja się chaos, powodowany zbłąkanymi masami ludzi. Otrzymuję przydział do batalionu „Iwo" na Marszałkowskiej i skierowanie na kwaterę na ulicę Hożą 25. Mam też biało-czerwoną opaskę i furażerkę powstańczą, mundur ten tak mnie rozczula, że nie mogę powstrzymać łez, są to pierwsze łzy radości po latach, pierwsze wolne łzy. Teraz zdaje mi się, że nic mi nie odbierze tej pięknej wolności, ucieleśnionej w naszej młodej walce, nie niepokoi mnie nawet to, co opowiadają chłopcy z baonu, że nie ma dla wszystkich broni. Broń? Nic łatwiejszego! „Rękami zdobędziemy karabiny, karabinami armaty, armatami twierdze!" Tak mówił mój pradziad, generał Mierosławski. Jestem nieodrodną jego prawnuczką, czuję się dumna, że biorę udział w powstaniu, nikt nie odbierze mi wiary.

W baonie „Iwo" pełnię najróżniejsze funkcje, w zależności od potrzeb. Jestem więc łączniczką pierwszej kompanii, prowadzę kancelarię magazynu, z kwatermistrzem por. Kazimierzem wyznaczam kwatery, organizuję wreszcie występy poetyckie w żołnierskiej gospodzie.

Roman i Zbyszek są w baonie „Beit", a Halszka otrzymała przydział za Alejami Jerozolimskimi, na Złotej, gdzie zorganizowała patrol sanitarny. Mały harcerzyk przynosi mi od niej listy na ulicę Hożą. Pomimo stanawiam odwiedzić ją kiedyś, ale to cała wyprawa, bo przez Aleje można przejść tylko nocą, gdyż wtedy słabnie ogień Niemców siedzących w BGK. Zresztą kopie się przejście przez Aleje, wysoki rów, lecz będzie służyło wypadom strategicznym, nie zawsze można dostać przepustkę na „tamtą stronę", jak zwiemy dzielnicę za Alejami.

Obszerne mieszkanie, w którym mam kwaterę, należy do państwa Dąbrowskich. Są mili i zapraszają mnie na obiady, lecz wymawiam się, bo uruchomiono już stołówkę dla żołnierzy. Czasem słucham z nimi radia w obszernym salonie, z niedowierzaniem jeszcze patrząc na duży aparat, bo odwykłam przez pięć lat od takiego widoku. Łapiemy polskie audycje z Londynu. Zagrzewają nas do walki, ale niepotrzebnie tak często nadają smutną melodię Chorału. To działa wręcz deprymująco. Nie mogę słuchać tych słów „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej", bo zdają się zawierać jakąś złą prognozę, przejmują mnie lękiem. Wolę nasze powstańcze radio „Błyskawica", gdzie brzmi nie słyszany od pięciu lat radosny, śliczny głos Zbyszka Świętochowskiego. Są jeszcze audycje uliczne, które montuje Wojtek Menzel, dowódca patrolu megafonowego. Spotkałam go w pierwszych dniach powstania, rzuciliśmy się sobie w objęcia, o mało nie zaplątałam się zupełnie w zwojach drutu, jakie miał przy sobie. „Wtedy nie przyszedłem, Mieczysławo — mówił — bo miałem już rozkaz". „Och to nic, to nic" — powtarzałam szczęśliwa, uświadomiwszy sobie nagle, że przecież to właściwie dzięki Wojtkowi, przez niego, uczestniczę w tym wszystkim. Bo gdybym wtedy nie umówiła się z nim we wtorek, może nie wyszłabym już z domu? Myśl o domu gasi mą radość? Co ona tam biedactwo robi opuszczona. Powiedziałam, że wrócę wieczorem. A tu już dwa tygodnie mija.

— Wojtek — mówię — jak myślisz, kiedy się skończy powstanie? Kiedy wypędzimy szkopów?

— Za tydzień — uśmiecha się — A nie wiesz przypadkiem co z Karolkiem *) i Markiem Chemzą?

— Mieli przydział na Stare Miasto — odpowiadam.

— Na to tam strasznie, Starówka cała w ogniu — martwi się Wojtek. Całuje mnie w pośpiechu, bo pędzi na ulicę Skorupki, gdzie właśnie montuje audycję uliczną. — Posłuchaj, to z balkonu — mówi jeszcze. — Aha — zatrzymuje się — urzęduję w BIP na Mokotowskiej, przynieś mi tam jutro trzy dobre, aktualne wiersze.

Mimowoli uśmiecham się z powodu tego zamówienia, ale cóż robić, trzeba będzie te wiersze napisać. Na ulicy Skorupki gromadzą się żołnierze, a z balkonu rozlega się głos Wojtka w megafonie. Deklamuje jakieś wiersze o „Sanitariuszce, jasnej dziewczynie".

Nazajutrz odwiedzam go w Biurze Informacji i Propagandy, wręczając trzy podniosłe, patriotyczne elboraty, napisane podczas nocnego dyżuru w pokoju łączniczek.

— Jesteś kochana, Mieczysławo — śmieje się Wojtek, czytając tytuły wierszy „Wielkość morza", „Narodzeni z wiary" — Pisać na zamówienie to naprawdę sztuka!

Mam więcej takich zamówień. Zbliża się piętnasty sierpnia, dzień święta Żołnierza. Śpiewak Zbyszek Krukowski, który w baonie „Iwo" pełni funkcje oświatowe, organizuje akademię w sali kina i potrzebuje wierszy. Uczymy się też nowej piosenki powstańczej „Bo my, Walcząca Warszawa, złączona ofiarą krwi".

Jestem wzruszona wprost do bólu, gdy pieśń ta brzmi w olbrzymiej sali, udekorowanej sztandarami. Chłopaki też płaczą, nikt się nie wstydzi łez, ogarnia nas uniesienie, rozumiemy wszyscy, jak wielkie, jak wspaniałe przeżywamy chwile, na które czekaliśmy pięć umęczonych lat. „Choć mundury nie zdobią nam ramion, choć nie każdy posiada z nas broń, ale ludność Warszawy jest z nami, każdy Polak podaje nam dłoń".

...i znów z daleka, z historii czy z mojej krwi, przychodzą ku mnie słowa pradziadka o karabinach, które zdobędziemy własnymi rękami, o wolności, którą zdobędziemy własnymi rękami, bezbronni, mocni tylko wiarą i młodością, warszawscy powstańcy, warszawskie dzieci, które rzuciły się w bój, na oślep. Źle to czy dobrze, nie wiem, jestem wzruszona do bólu, jestem dumna i wprost rozpaczliwie szczęśliwa.

Józefa Radzymińska

* Karol Topornicki

Tam gdzie zafalowała ziemia...

Dokończenie ze str. 1

„dwóch zerach" siedzi nawet babcia klozetowa. Nie wiem — jeśli ruch zawsze tu taki — z czego ona żyje?

Późnym popołudniem mijamy Nisz, dziś miasto liczące ok. 100 tysięcy mieszkańców. Dla Serbów Nisz przez wiele lat stanowił symbol klęski. Tutaj w XIV wieku stoczono wielką bitwę z Turkami. Przypomnijmy sobie Kosowe Pole! Zwycięstwo Turków na setki lat przypieczętowało niewolę Serbów. Powstańczy zryw w początkach XIX wieku również zakończył się tragicznie. Prawie 1000 głów powstańczych Turcy oskalpowali budując z nich wieżę czaszek (Czele Kulę). Podobno do dziś można ją oglądać. Ale i na to nie ma czasu...

Im bliżej granicy Macedonii — tym ciekawsze tereny. Coraz więcej wzniesień, gór. Od czasu do czasu wpadamy w jakiś dłuższy czy krótszy tunel, obrazujący nam, ile trzeba było włożyć wysiłku, aby wybudować tę autostradę!

Jest już całkiem ciemno, gdy w oddali ukazują się światła Skopje. To jest widok niezapomniany, trudny do opisania. Tysiące, może dziesiątki tysięcy jarzeniówek i buchający w niebo słup ognia z olbrzymiej huty. Patrzymy jak urzeczeni. Wrażenie jest kolosalne.

Miejsca dla nas zarezerwowano w „Grand Hotelu", chyba najbardziej reprezentacyjnym. Na muszli klozetowej jest nawet niewielka papierowa opaska informująca, że właśnie przeprowadzono dezynfekcję. Wszelki komfort, ale nie chcemy nawet pytać, ile organizatorzy muszą płacić za te noclegi!

Od lewej: Kazimierz Braun — kierownik artystyczny Teatru im. J. Osterwy, Jerzy Torończyk — dyrektor Teatru, Dragoljub Stawrew — prezydent m. Skopje, Wanda Brajerska — przedstawicielka Wydziału Kultury Prez. WRN w Lublinie i Stanisław Bąk — przedstawiciel Wydziału Propagandy KW PZPR w Lublinie.

Premiera „Cezara i Kleopatry" Norwida ma się odbyć już jutro wieczorem. Niektórzy aktorzy rezygnują więc z krótkiego nawet spaceru po mieście, aby należycie wypocząć. Inni, zwłaszcza ci, którzy pojutrze wystąpią w „Hamlecie", wybierają się na „zwiady". Cóż to mogą być o tej porze za „zwiady"? Obejrzenie wystaw i wypicie kilku kieliszków wina czy śliwowicy...

Ani na moment nie przypuszczaliśmy, że tego wieczoru spotkamy w Skopje Polaka. Autentycznego Polaka, który przyjechał z Krakowa, aby tu montować maszyny w wytwórni papierosów. A no — spotkanie to uczciliśmy zachowując wierność tradycji.

Solidnie jestem następnego dnia rano zmęczony, a wstać, niestety, muszę wcześnie, gdyż już o dziewiątej przyjmuje nas prezydent miasta, Dragoljub Stawrew. Prezydent urzęduje w baraku, ale barak ten dość wytworny. Wytwornie wygląda również i nasz gospodarz i towarzysząca mu świta, wszyscy panowie „pod krawatami", najwidoczniej przyzwyczajeni do upałów. Dla nas krawat stanowi narzędzie tortur, marynarka grzeje jak futro, więc szybko rezygnujemy z „elegancji", choć może nie wygląda to zbyt fair.

Po krótkiej informacji otrzymujemy bogaty materiał faktograficzny. I w tym miejscu muszę się cofnąć o lat sześć, bo ja tu gadu, gadu o babkach klozetowych i śliwowicach, wprowadzam czytelnika w nastrój niemal sielankowy (pomijając tę wieżę czaszek), a piszę przecież o mieście, które przeżyło straszliwy kataklizm — trzęsienie ziemi.

Tragedia wydarzyła się 26 lipca 1963 roku, w piątek. O godzinie 5 minut 17 ziemia zafalowała i rozległ się silny huk. Gmachy waliły się jak domki z kart, wieżowce trzaskały jak zapałki.

Część ludzi była już na ulicach, zdążając do pracy, bądź po poranne zakupy, większość jednak spała. Trzęsienie ziemi po prostu wyrzuciło ich z łóżek. Oszalali z przerażenia rzucili się ku wyjściom. Jeśli ktoś mieszkał na parterze lub na I piętrze, zdążył wydostać się na zewnątrz, gorzej było z tymi, którzy znajdowali się na wyższych kondygnacjach.

Wszystko trwało 10 sekund. Później nastąpiła trzyminutowa przerwa, a po niej — kolejny kataklizm. Drugie uderzenie dopełniło dzieła zniszczenia. Było ono tym bardziej zgubne, że budynki zostały naruszone pierwszym trzęsieniem. Dalsze trzęsienia nie miały już takiej siły, jak dwa pierwsze.

Sejsmografy odnotowały, że największa siła wstrząsu wyniosła 10 stopni (maksymalna znana siła — 12 stopni). Epicentrum znajdowało się w samym mieście na głębokości około 3 km.

Ucierpiało nie tylko Skopje, ale i okolice miasta. W gminie Gjorche Petrov zniszczeniu uległo ponad 600 budynków, a w samym Gjorche Petrov nie ocalał ani jeden. W parku wytworzyła się tu szczelina o długości 200 m i szerokości 20 cm!

O pierwszym uderzeniu mówi się, że było pionowe, drugie natomiast — poziome. Tak od początku twierdzili obserwatorzy tragedii na podstawie tego, jak waliły się poszczególne budynki. Późniejsza mapa sejsmograficzna wykazała, że najbardziej narażone na trzęsienie ziemi są tereny ciągnące się wzdłuż rzeki Wardar. Wzięto to pod uwagę przy odbudowie miasta rozmieszczając tu zieleńce i obiekty sportowe.

A jakie straty materialne poniosło samo Skopje? Z 36 578 mieszkań uległo całkowitemu zniszczeniu 15 776, natomiast 13 730 doznało poważnych uszkodzeń, a 7080 — lekkich. Z 45 zakładów przemysłowych — 27 zostało zniszczonych bądź poważnie uszkodzonych. Ogółem straty wyniosły ok. 500 miliardów dinarów starych, czyli 5 miliardów nowych dinarów.

Żywioł doszczętnie zniszczył m. in. dwa hotele, stację kolejową, dom armii, trzy teatry, gmachy uniwersyteckie, muzea, radiostację...

Długa jest lista strat, najbardziej bolesne, nieodwracalne są jednak ofiary w ludziach.

Pod gruzami znalazło się ok. 10 tysięcy osób. Dzięki natychmiastowej akcji dużą część udało się uratować. Niemniej bilans i tak jest przerażający: 1070 osób straciło życie, a 3570 odniosło trwałe kalectwo, w tym 1350 — ciężkie.

Dworzec kolejowy w Skopje — naturalny pomnik tragedii.

(Zdjęcie autora)

Kamena str. 4

Kadenowe karykatury

Zenobia Kitówna

JULIUSZ Kaden Bandrowski — czołowy pisarz dwudziestolecia międzywojennego, zmarły śmiercią tragiczną w Powstaniu Warszawskim — nie należy do tych, którym historia literatury oddała pełną sprawiedliwość. Przemilczany i niedoceniony, zszedł do rzędu pomniejszych twórców powieści międzywojennej. A przecież właśnie „Generał Barcz" (1923), „Czarne skrzydła" (1928) i „Mateusz Bigda" (1933) należały do głośnych wydarzeń epoki, przynosząc autorowi miano twórcy polskiej powieści politycznej.

Z okazji dwudziestopięciolecia śmierci Kadena warto może zastanowić się nad jednym z głównych chwytów konstrukcyjnych w wymienionych powieściach, czyli nad sposobami kreowania postaci karykaturalnych. Pozwoli to w pewnym stopniu ukazać złożoność stosunku pisarza do rzeczywistości Polski sanacyjnej. Był to bowiem stosunek co najmniej ambiwalentny.

Pierwsza powieść Kadena („Generał Barcz") głosi nowy program literacki, związany ściśle z przyjęciem nowej poetyki, wysuwającej postulat karykaturalnej deformacji jako głównej zasady konstrukcyjnej. Do najpospolitszych środków deformacji należy zachwianie proporcji między poszczególnymi elementami ciała ludzkiego. W ten sposób został potraktowany w powieści major Pyć: *Malutkie, chude łopatki Pycia... podskoczyły w górę, aż ku nadmiernie rozrośniętym muszlom uszu...* Tę samą metodę stosuje Kaden w następnych powieściach, np. podobnie została skonstruowana postać dyrektora Kostrynia z „Czarnych skrzydeł": *...wielkie, czerwone uszy aż drżały z zajadłej ciekawości...*

Inny zabieg, stosowany przez Kadena nagminnie, polega na dezintegracji portretu. Pisarz wprowadza migawkowy szkic postaci, sygnalizuje jakiś szczegół, powtarza uporczywie ten sam rys, nie dając nigdy skończonego portretu. Operuje najczęściej stałym łańcuchem słownym, w którym dochodzi do ciekawych związków frazeologicznych. Prezentując postać Krywulta, pisarz wprowadza termin *turkus* zamiast wyrazu *oko*. Wielokrotnie powtarza ten rzeczownik w połączeniu z odpowiednim epitetem: *jasne turkusy, czyste turkusy, niebieskie turkusy, blade turkusy, łtawe turkusy* itd. Na dwadzieścia jeden wzmianek o wyglądzie Krywulta przypada aż jedenaście uwag o oczach.

Wielką rolę odgrywa w „Generale Barczu" technika ukazywania postaci na zasadzie pars pro toto. Nawet postać marginesowa, jaką jest hrabia Bogulicki, która na moment, w tempie przyśpieszonym, pojawia się w danej scenie, posiada ogromną ekspresję wyrazu: *...zeschnięta na szary pieprz źrenica..., trupie, piórkiem tyrolskiego kapelusza nakryte oblicze hrabiego...* Element konkretny, zastępujący całość, służy obniżeniu wartości człowieka, pozbawia go w pewien sposób godności osoby ludzkiej i pełni funkcję zamierzonej deformacji.

Najskuteczniejszym sposobem deformacji człowieka jest stosowana szeroko metoda depsychizacji postaci. Kaden pozbawił je przede wszystkim normalnej mowy ludzkiej. Zamierzona depsychizacja prowadzi do ukazania osobników, którzy *skuczą, mlaskają, bzykają, prószą*, ale nie mówią. Ponadto wygląd zewnętrzny przypomina często świat zwierząt. Pyć podobny jest raz do ptaka, a raz do kota: *Malutkie, chude łopatki Pycia, niby szczątkowe skrzydełka, podskoczyły w górę.... Pyć zeskoczył z fotela i wyciągnął się, tężąc grzbiet półokrągło jak kot...* Deptuła (bohater ostatniej powieści Kadena pt. „Mateusz Bigda") ma twarz podobną do organizmów jeszcze niżej postawionych od zwierząt: *...oblicze (Deptuły)... porowaty łopuch zielonkawy, wylewający się z grubej nasady karku rozfalowaną powierzchnią...* Wygląd zewnętrzny wyraża najczęściej „wartości" moralne bohatera, stąd też brzydota Deptuły jest miernikiem ujemnych cech charakteru. Tego rodzaju obrazowanie likwiduje przedział między światem zwierzęcym i ludzkim. Zaciera te wartości, które wyróżniają osobę ludzką, a uwypukla wszystkie momenty przypominające przynależność człowieka do świata przyrody. Jest to niewątpliwie degradacja ludzi, ale łączy się ona z zagadnieniem zła, reprezentowanego przez człowieka.

Satanizm niektórych postaci jest szczytem zamierzonej deformacji. Na szczególną uwagę zasługuje major Pyć. Zasygnalizowane podobieństwo majora do kota lub ptaka każe przypuszczać, że kieruje się on w życiu niezawodnym instynktem, że potrafi lepiej wyczuć i dalej spojrzeć od przeciętnego człowieka. Nawet wielki Barcz jest tylko ślepym narzędziem w ręku Pycia, który ma w sobie więcej z demona niż z człowieka. Sama jego twarz prezentuje pewną niesamowitość: *Na twarzy jego połyskliwej jak blacha, wyciągały się szare, gęste cienie ....* Najczęstszą reakcją Pycia na słowa Barcza jest śmiech: *Ostry, cieniutki śmiech Pycia przecinał ciszę pokoju długo i systematycznie.... Resztę kończył śmiech, wysączony z szerokich źrenic na rozgięte blade wargi.* Jego demoniczność wywodzi się nie tylko z podkreślanej przez narratora szpetoty, ale przede wszystkim z tajemniczej mocy, która pozwala mu obalić największych wrogów i doprowadzić Barcza do celu. Postać Pycia jest wspaniałą kreacją artystyczną, dla której nie ma odpowiednika w literaturze współczesnej Kadenowi.

Ustokrotnieniem nieczystych sił jest w „Czarnych skrzydłach" dyrektor Coeur. W przeciwieństwie do Pycia, o którym można powiedzieć, że był tylko w zmowie z diabłem i wykorzystał biesa do swych celów, Coeur jest po prostu demonem, a jego śmierć w płonącym szybie stanowi swego rodzaju powrót do piekła. Wygląd Coeura przypomina twarz Pycia, obie postacie odznaczają się jakimś niesamowitym połyskiem, mają w sobie coś z metalu: *Ciemny był przecie, a błyszczał jak metalowa mutra, oczy czarne patrzyły nieruchomą iskrą.* Tak samo jak Pyć, Coeur posługuje się często śmiechem: *Słuchał i śmiał się coraz głośniej...*

Niesamowite są również dźwięki, jakie wydaje z siebie Francuz: *Kostryń przysiągłby, że wznoszące się wolno ku górze powieki Coeura wydały dźwięk! Dźwięk zardzewiałych sprężyn!*, albo:... *wydał z siebie przeciągły syk...* A nawet w gamie zjawisk akustycznych odgrywa dużą rolę brak jakiegokol-

Dokończenie na str. 11

Maria Józefacka

missolungi

śnią nam się missolungi
czy może kutno
lub głaz
w kazimierzowskich rozstajach
one nam w miodu pogodzie
pogrążyć się nie dają
one nam w sercu co dzień
gruzem goryczy

tak łatwo przewiązać szarfą
parszywiejące dni klęsk
przyklęknąć nad cudzą gangreną
głęboko
głęboko pod nami
łatwo
z wiązanek naręczem
z apollinowym wieńcem
stanąć nad pogrzebanym

chyba że pamięć jak wrzód
wzbiera
dni nie zaznanych prywatnie
aż zęby zatniesz
i
podobnie zechcesz umierać
za naszą i waszą

dojrzałość

* * *

tak mi bito z armat w narodziny
z takową się zeszli owacją
wywróżyli
purpurę gęstą
cudowały się nad kolebką
topielice gwiazd
ich płacz
zapadł
prosto w serce
i tak mi ono
dotąd
kryształem nabrzmiewa ciemnym
może kiedyś rozświetli
królestwa
na głucho
przede mną
zamknięte

Lublin

Oglądałem zdjęcia, nieme dokumenty, a także słuchałem wielu relacji z osobistych przeżyć.

W Skopje noce są gorące i duszne, ludzie śpią przy otwartych oknach, często bez żadnej bielizny. W tragiczny poranek wielu z nich tak jak spało rzuciło się do okien i drzwi. Niektórzy zapominali nawet o dzieciach, wracali po nie, aby przy drugim wstrząsie zginąć pod gruzami...

Można jednak mówić o szczęściu w nieszczęściu. Trzęsienie ziemi nastąpiło w lipcu, wielu mieszkańców miasta wyjechało na letni wypoczynek, dzieci udały się na kolonie. Gdyby — mówiono mi — ten kataklizm wydarzył się na przykład w kwietniu, w późniejszych godzinach, ofiary byłyby nieporównywalnie większe.

Tego poranka były i inne szczęśliwe zbiegi okoliczności. Na przykład pociąg z Belgradu spóźnił się. Dworzec kolejowy, który częściowo się zawalił, był niemal pusty. Koszary uległy zniszczeniu, ale żołnierze ocaleli. Po prostu część żołnierzy skończyła jeść śniadanie i wyszła z budynku, a druga — nie zdążyła jeszcze zająć miejsc w jadalni. Warto podkreślić ten moment, gdyż właśnie żołnierze obok funkcjonariuszy milicji nieśli główną pomoc żywcem pogrzebanym...

Trzeba było zaledwie 10 minut po drugim wstrząsie, aby ludzie pomału zaczęli dochodzić do siebie i zdali sobie sprawę, jak wielki jest rozmiar zniszczeń. Gołymi rękoma odwalano kamienie i wyciągano ludzi z ruin. Wyciągano żywych i martwych.

Jugosławia nic jednak ciągle nie wiedziała o tragedii. Radio Skopje milczało... Dopiero o godzinie 6 minut 40 kapitanowi Piotrowi Jovicowi udało się nadać meldunek do rozgłośni radiowej w Prisztinie: „Mamy katastrofalne trzęsienie ziemi, przyślijcie oddziały sanitarne". Radiostacja w Prisztinie przekazała tę wiadomość w specjalnym komunikacie o godzinie siódmej. Niemal w dwie godziny po trzęsieniu ziemi Jugosławię i cały świat obiegł tragiczny meldunek, wielkie SOS o pomoc.

Zaraz potem nastąpiła pierwsza bezpośrednia relacja. Przekazał ją holenderski pilot, który przewoził samolotem kurczęta i właśnie po godzinie piątej znalazł się nad Skopje, gdzie był nadziemnym świadkiem katastrofy.

Skopje przestało być samotne.

Marek Adam Jaworski

Na cmentarzu w Skopje. Jeden z grobów ofiar trzęsienia ziemi. (Zdjęcie autora)

Pisarstwo ludowe czy amatorskie?

Fryderyk Podolecki

WŁĄCZAM się do dyskusji na poruszany przez Macieja Podgórskiego temat pisarstwa ludowego („Kamena" Nr 10 z 11.IV 69 r.). Od dość dawna jestem członkiem Stowarzyszenia Twórców Ludowych (dawniej MKPL) w Lublinie, choć nie jestem rolnikiem, choć mam dwie matury, choć studiowałem polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, słuchając zawsze interesujących wykładów nieżyjących już prof. prof. St. Pigonia, Z. Klemensiewicza, nie mówiąc o innych, którzy dalej utwierdzają młodych ludzi w umiłowaniu ojczystego języka, jak prof. H. Markiewicz, Piszczkowski i in. Łączy mnie z pisarzami ludowymi nie tylko chłopskie pochodzenie, nie tylko długi okres współpracy z prasą wiejską, która zamieszczała moje utwory (wyłącznie — jak dotychczas — satyryczne) na długo przed powstaniem STL, ale nade wszystko kult folkloru, kult wszystkiego, co wiejskie, rodzime, rdzennie nasze, polskie. Nie pamiętam już gdzie i kiedy spotkałem świetną fraszkę — chyba J. Sztaudyngera — którą pozwolę sobie tu zacytować jako motto dalszych wywodów:

Narodowa kultura
Bez folkloru to bzdura.

Nie należy — rzecz jasna — brać jej dosłownie, bo wtedy straciłaby cały swój dowcip. Ta fraszka to moje antidotum na różne curiosa artystyczne, z jakimi się coraz częściej spotykam w życiu codziennym.

Nie zamierzałem wypłynąć na powierzchnię życia literackiego uczepiony arki poezji ludowej; pisałem „sobie a Muzom", śledząc zawsze z zainteresowaniem na łamach prasy wiejskiej twórczość pisarzy chłopskich, a kiedy utworzono MKPL, zgłosiłem bez większych oporów, wahań, analiz itp. swój akces do Klubu i na podstawie załączonego materiału zostałem przyjęty w jego szeregi. Dopiero później opadły mnie wątpliwości. Nasunęło mi się kłopotliwe pytanie — gdzie się zaczyna, a gdzie kończy literatura ludowa, kto ma prawo do miana twórcy ludowego, kto nim jest naprawdę, a kto tylko upozowanym na ludowego, by szybciej zrobić karierę literacką, dać się poznać szerszemu ogółowi choćby z etykietką „ludowy", co ma u nas zabarwienie kojarzące się z prymitywem, nieporadnością warsztatową, surowością. A może to ja właśnie jestem jedynym z nich? I jak tu nie przyznać racji Maciejowi Podgórskiemu, kiedy pisze: „... to nadzwyczaj złożone zjawisko obrosło bluszczem rozmaitych nieporozumień i mitologii, co wzięło się właśnie z bałaganu kryteriów (podkr. moje — F. P.), usiłujących porządkować praktykę organizującą samo zjawisko, i co tylko zaciemniło jego rzeczywisty obraz i tak już z natury skomplikowany".

Niestety — zamiast dyskutować, zaczynam przytakiwać. Trudno to nazwać dyskusją. Zacząłem na własną rękę gromadzić materiały, które by mi pozwoliły na opracowanie bodaj własnej definicji „poety ludowego", bo przecież chciałem wobec samego siebie być w porządku, wytłumaczyć przed samym sobą moją obecność w STL.

Rezultaty miałem nader opłakane. Pochodzę z podkrakowskiej wsi, ale właśnie tu nastąpiły gigantyczne przeobrażenia w krajobrazie (Nowa Huta) i gdybym nadal mieszkał na wsi — niejako automatycznie z autentycznego chłopa musiałbym się przeobrazić w mieszkańca miasta, bo w międzyczasie wieś została włączona w obręb miasta Krakowa. A zatem casus — miejsce urodzenia czy zamieszkania — nie może być miernikiem „pasowania" tego czy innego autora na pisarza ludowego. A teraz sprawa wykształcenia. Słyszy się i czyta się, że niektórzy członkowie STL posiadają wykształcenie średnie, półwyższe, a nawet wyższe, co jest nie do pogodzenia z powszechnie przyjętą opinią, która zakłada, że twórca ludowy nie powinien posiadać żadnego wykształcenia, albo co najwyżej podstawowe, że to winien być człowiek pokroju Nikifora Krynickiego literatury ludowej.

No dobrze, ale gdzie znaleźć dzisiaj ludzi bez wykształcenia, bez kursów zawodowych, bez radioaparatów, bez książek, bez samouczków, bez możliwości kształcenia się?... Ale co z kolei zrobić z ludźmi, którym z przyczyn od nich niezależnych nie dane było ukończyć szkół, choćby ten czy ów gorąco tego pragnął, a którzy zajmowali się pisaniem w czasach nie takich, jakie my i oni współtworzymy?

A co będzie, jeśli jakiś pracownik instytutu naukowego w średnim wieku, albo dyrektor przedsiębiorstwa również w średnim wieku (chodzi o dyrektora nie przedsiębiorstwo) na marginesie swoich zajęć zawodowych zaczną się zajmować pisaniem (pomijam korespondencję służbową) i zechcą przedłożyć swoje utwory, które dotąd wstydliwie chowali do szuflady, do szerszej oceny? Do ZLP ich nie przyjmą, do KKMP też, choćby ze względu na wiek. Czy mają możliwość zgłoszenia się do STL? Jak takiego twórcę „zaszufladkować", jaką mu przypiąć „etykietkę"?

Są to — moim zdaniem — sztuczne problemy wynikłe z nieporozumienia spowodowanego postawieniem znaku równości między pojęciem „ludowy" a wiejski czy chłopski. Nie potrzebuję wyjaśniać, że termin „ludowy" to pojęcie szersze od dwóch pozostałych. Ale nie tu tkwi — również moim zdaniem — główne źródło nieporozumień. Mogłyby one zniknąć, gdyby w literaturze mogło się pojawić na stałe pojęcie literata — amatora, tak jak to ma miejsce w zespołach artystycznych, plastyce i innych dziedzinach sztuki. Tam słowo „amator" zyskało sobie prawo obywatelstwa. Urządza się wystawy, spotkania, koncerty itd. Nikogo to nie razi, nikogo nie dziwi. I choć słowo „amator" nie budzi zaufania wśród zawodowych twórców oraz ludzi pióra wszelkich odcieni i często kojarzy się z grafomanią, to jednak — gwoli sprawiedliwości — trzeba przypomnieć, że nie zawsze istniał ZLP, KKMP, że większość członków ZLP zaczynała od „kibicowania" (przepraszam za zwrot) poczynaniom literackim innych piszących, że każdy był kiedyś tylko i wyłącznie amatorem.

Z pewnością nie wyczerpałem tematu, z pewnością znajdzie się wielu zainteresowanych, którzy wysuną bardziej ciekawe propozycje. Może i mnie się nadarzy okazja powrócić jeszcze do wymienionych tutaj dość powierzchownie refleksji.

WOLNA TRYBUNA

Dwa Towarzystwa

ZNAWCY życia powiadają, że minęły już bezpowrotnie czasy Judymów i Siłaczek. Mógł sobie Żeromski, twierdzą, takich bohaterów wymyślać, mógł ich nawet dość często spotykać w życiu — ale dzisiaj już nie te czasy. Teraz wszystko jest ujęte w plany działania i budżety, formy organizacyjne i hierarchiczne. Planuje się nawet czyny społeczne, co jedni uważają za paradoks, inni za rzecz warunkującą otrzymanie uzupełniającej dotacji państwowej.

A jednak życie od czasu do czasu pokazuje, że nie wszystko na tym trochę zwariowanym świecie da się przewidzieć, ująć w schematy. Wcale nie tak rzadko obok tych schematów i budżetów wyrasta niezwykle cenna inicjatywa społeczna, animowana przez jakąś bardziej twórczą jednostkę, czasem zaś — dla odmiany — te zinstytucjonalizowane czy zbiurokratyzowane formy tłumią najbardziej pożyteczne poczynania. Oto dwa wymowne chyba przykłady.

Międzyrzec Podlaski — małe, nawet nie powiatowe miasteczko. Tak się złożyło, że w tej pięknej i nie najgorzej przez historię potraktowanej miejscowości urodził się Marian Kowalski, który z czasem przed nazwiskiem zaczął pisać mgr, potem także płk. Losy rzucały go po Europie, od lat usadowiły w Warszawie — ale płk Marian Kowalski nigdy nie zerwał bliskich kontaktów z rodzinnym miastem. Co więcej — zawsze jest jeżeli nie inicjatorem, to jednym z najbardziej czynnych organizatorów i działaczy w tym wszystkim, co społecznie rodzi się i rozwija w Międzyrzecu. Pasjonują go przede wszystkim historia, folklor, różne formy pracy kulturalnej.

Pół roku temu z jego to inicjatywy powstało w Międzyrzecu Podlaskim Towarzystwo Przyjaciół Nauk, jedyne tego rodzaju w naszym województwie towarzystwo regionalne. Płk Kowalski opracował statut, uzyskał jego zatwierdzenie, został prezesem Towarzystwa, wydębił od władz lokalnych biuro, a od wojewódzkich i centralnych papier oraz pieniądze, co pozwoliło na wydanie „Bibliografii powiatu radzyńskiego i jego regionu". Ledwo się ta książka ukazała, Towarzystwo, do którego prezes zwerbował już 120 członków, zdobyło znów środki na systematyczne wydawanie „Rocznika międzyrzeckiego". I nie będzie to książczyna, jakie czasem ukazują dla zaspokojenia ambicji lokalnych czy nawet personalnych, ale solidny tom o objętości ponad 300 stron, zapełniony wynikami wieloletnich badań nie tylko ludzi miejscowych, ale także naukowców z zewnątrz, którzy mają coś do powiedzenia na temat Międzyrzeca, Radzynia i okolic.

Nie koniec na tym. Co miesiąc odbywają się zebrania Towarzystwa, połączone z ciekawymi referatami i dyskusją. Organizuje się biblioteka, do której pułkownik przekazuje znaczną część swoich osobistych zbiorów, a także uzyskane przez niego dary z biblioteki MON.

A teraz kilka słów o Lublinie. Przed kilku laty z inicjatywy redakcji społecznej rozgłośni lubelskiej Polskiego Radia powstał nieoficjalny Klub Miłośników Lublina. Właściwym inicjatorem i przez ponad dwa lata pełnym inwencji kierownikiem Klubu został red. Janusz Danielak, człowiek, który urodził się na drugim końcu Europy, ale który od wielu lat zakochał się w naszym Lublinie jak rzadko.

I wszystko było dobrze do czasu, gdy ten Klub istniał nieoficjalnie, gdy nie miał prezesa, deklaracji, składek, statutu. Mija już prawie rok od chwili, gdy Klub przekształcił się w Towarzystwo Miłośników Lublina. Takie oficjalne — ze statutem, wieloosobowym zarządem, składkami, osobą wyznaczoną do prowadzenia spraw biurowych. To prawda, że zabrakło lokalu, ale przecież do czasu oddania wszystkich pomieszczeń Miejskiemu Domowi Kultury w budynku przy ul. Pstrowskiego można chociażby wegetować jako sublokator tegoż MDK.

Tymczasem od chwili wybrania zarządu Towarzystwo Miłośników Lublina nie dało dotychczas najmniejszego znaku życia. Ba — zarząd w ciągu 10 miesięcy nawet się nie ukonstytuował. W tej sytuacji nawet nie wiadomo, do kogo personalnie mieć pretensje. Cóż z tego, że do zarządu weszli przedstawiciele różnych władz i organizacji, a także ludzie prywatni, znani ze swojego patriotyzmu lokalnego i działalności w wielu dziedzinach?

A więc co się dzieje? W Międzyrzecu wiele, w Lublinie nic. Pierwsze cieszy, drugie smuci i gniewa.

Stefan Kopalewski

WIELKIE MUZYKOWANIE

Maciej Podgórski

JA szczerze rozczulać się nie jestem skłonny. Takie już pokolenie moje. Wredne. A dziennikarstwo pojmuję głównie jako tzw. suchą krytykę, pilne wyszukiwanie w rzeczywistości miejsc „cienkich" albo układów zgangrenowanych. Lecz ostatnio wzruszyłem się niepomiernie i całkiem bezinteresownie, co piszę bez cnej domieszki zgryźliwości i o powodach czego pisać zamierzam na ogół z jednoznaczną życzliwością. Przyszło mi bowiem oglądać bardzo ładną sprawę, za którą stoi sprawa jeszcze piękniejsza.

Parę koniecznych informacji. Przez trzy dni (4—6 lipca) trwał w Kazimierzu Ogólnopolski Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych wraz z towarzyszącymi mu imprezami (m. in. wieczór gawęd ludowych, wieczór ludowej poezji lubelskiej, przegląd filmów o tematyce folklorystycznej, targi sztuki ludowej). Dwadzieścia dwa zespoły oraz przeszło czterdziestu solistów (instrumentalistów i śpiewaków) spełniało swoje muzyczno-wokalne powinności.

O takich zdarzeniach mali-kaziowie-reportażyści pisują najczęściej w konwencji „Jasło". Cynicznie zamierzałem i ja tak samo, nim się w Kazimierzu znalazłem. Na przykład — *trzydniowe szaleństwo opanowało senne zazwyczaj uliczki i rynek kazimierski, i to szaleństwo nie z tych turystyczno-samochodowo-tranzystorowych, choć i ono tam się rozpętało, ale szaleństwo bajecznie kolorowe, muzykujące, śpiewające, gadające i handlujące na ludowo.* Trzeba jeszcze stwierdzić, jak *to pięknie folklor nam się konserwuje i uświęca*, wspomnieć na koniec o *setkach skondensowanych decybeli ludowych, a cieszących serce i ucho mieszczan*, o tzw. *feerii świateł* — koniecznie — i jest się już całkowicie w stylu, sprawę ma się z głowy, po czym można spokojnie wyglądać wierszówki. Lecz impreza, choć w Kazimierzu, nie daje się załatwić kaziowym ględzeniem. Więc przepraszam, ale ja całkiem serio, aczkolwiek czasem lirycznie

*

Dzisiaj nastała moda na ludowość. Kazio (co ja z tym Kaziem wciąż!) Grześkowiak to jest ludowość, „Mazowsze" to ludowość, cepeliowska masówka — ludowość, i ludowe są także wierszyki zgrafomanione pod nowoczesną poezję, a produkowane przez młodocianych członków STL-u. Zwykle niedużo ma to wszystko wspólnego z autentycznym chłopskim folklorem, a często wiele ma wspólnego z robieniem autentycznej forsy.

W Kazimierzu nie było ani Grześkowiaka, ani cepeliowskiej konfekcji, ani nawet „Mazowsza". Była natomiast spora grupa wykonawców, którzy reprezentowali — jak ośmielam się przypuszczać — rzeczywisty folklor chłopski. Sam choćby powiat biłgorajski serwuje tu znakomite przykłady: Anna Malec z Sosnówki (I nagroda pośród śpiewaków), Władysław Góra, wyróżniony w tej samej kategorii, ale występujący również jako instrumentalista... na listku bzowym, dwuosobowa kapela Franciszka i Jana Bździuchów (skrzypce i... tamburyn) z Jędrzejówki (II nagroda). O innych już nie wspominam. W każdym razie są to z reguły ludzie starsi, dla których folklor jest naturalnym i jedynym bodajże układem kulturowym. Oni sami są niejako członkami skansenów folklorystycznych, zachowanych gdzieniegdzie w kraju. Nie tylko śpiewają piękną gwarą, ale także mówią nią na co dzień. Nie tylko szlachetny prymitywizm i surowa prostota ich muzykowania, ale też stary chłopski obyczaj w potocznym życiu. Ich rezolutność. Ich brak tremy. Ich przyśpiewki: „powiesili babę w kominie, kamieniami w tyłek rżli" — to jest wizja!

Druga grupa to ludzie, którzy wskutek znanych procesów zachodzących na dzisiejszej wsi „przesunęli się" już — mniej lub więcej — w kierunku układów kulturowych o ogólniejszym zasięgu. Zdarza się tu średnie pokolenie, a też i młodsze. Zachowali oni żywą, bezpośrednią pamięć folkloru, często pamięć trzymaną w ryzach i kontrolowaną przez fachowych opiekunów. Są dość świadomymi odtwórcami folkloru muzycznego, tyle że czasem będzie to folklor nieco uładzony, elegancki jakby. Myślę na przykład o znanej kapeli z Głowna pow. Łowicz (wyróżnienie), działającej przy PDK, czy o Kapeli Dudziarzy Wielkopolskich z pałacu kultury w Poznaniu (nagroda specjalna Polskiego Radia).

Gdzieś z tych rejonów, ale niekoniecznie zawsze z tych, wywodzi się trzecia grupa. Ja myślę, że zazwyczaj folklor stanowi tu już tylko pretekst, punkt wyjścia, ważną ale przecie jedynie osnowę dla samodzielnych wartości muzycznych. Tę grupę reprezentują wysokich walorów talenty wykonawcze i duże zdolności wzbogacania oraz trawestowania motywów chłopskiej muzyki. „Tak prosto nie mogę grać jak oni" — powiedział mi Mieczysław Szyboński, 35-letni rolnik z Łęgów pow. Biała Podlaska (harmonia polska, III nagroda wśród instrumentalistów), rewelacja koncertu zespołów i solistów Lubelszczyzny. Z folklorem jednak łączy Szybońskiego chyba i to, że każde wykonanie jest inne (potrafi czytać nuty, ale trudniej sobie radzi z ich zapisywaniem). W każdym razie nie jest to wszelako świat chłopskiego skansenu, bezpośredniej więzi z folklorem muzycznym, Szyboński ma fachowe rozeznanie (lubi na przykład „Mazowsze", lecz wie, że to stylizacja). Jego straszna trema. Jego skupiona, nieruchoma twarz. Chciałoby się do tej grupy zaliczyć też Leona Różańskiego z Krzczonowa pow. Bychawa (klarnet, I nagroda wśród instrumentalistów) oraz Bolesława Trzmiela z Zakopanego (II nagroda wśród instrumentalistów), mistrza aż trzech instrumentów: kozy, gęślików i fujarki.

Rzeczywistość ludzką można dzielić tylko kierunkowo, zatem w przybliżeniu. Nic więc dziwnego, że były w Kazimierzu zjawiska oscylujące między trzema wymienionymi grupami. Trudno nie wspomnieć o znakomitej kapeli góralskiej z Sopotni Małej pow. Żywiec. Tak śpiewali, tak muzykowali i tańcowali, aż mikrofon zleciał z estrady, ale za to zdobyli aż pięć nagród (I — pośród kapel i I — pośród instrumentalistów oraz dwie II i jedną III — wśród śpiewaków). Dalej — pięcioosobowa kapela z Woli Gródeckiej pow. Tomaszów Lubelski (II nagroda) pod dyrekcją Jana Kimaka. Rozpiętość wieku: 79 — 36 lat. Wszyscy są członkami muzykanckich rodzin z dziada pradziada, wszyscy mieszkają w tej samej wsi. Grają w przedziwnie uroczej tonacji, całkiem odrębnej. Chyba flet Jana Zwolakiewicza

Tumult w Opolu

• Dokończenie ze str. 1

zany na szklanym ekranie powinien podporządkować się reżyserowi. Poza tym „Brekaouci" nie chcieli podłączyć swych gitar elektrycznych do aparatury festiwalowej, tylko żądali grania na własnej, a ta jest najgłośniejsza w Polsce, być może dobra nawet w tutejszym amfiteatrze, lecz dużo mocniejsza niż ta, która stoi na festiwalowej estradzie. Red. Jaroszewski podaje jeszcze, że ogółem na festiwalu występuje 320 wykonawców (nie licząc 38 muzyków z orkiestr radiowych), w tym 40 debiutantów — są to wszystko rekordy absolutne w historii tej imprezy — i nikt, prócz „Brekaoutów", nie żądał występowania z własną aparaturą.

Red. Walicki nie porusza sprawy aparatury, z czego domyślam się, że w tym punkcie spauzował. Nadal natomiast nie uznaje praw TV do ingerowania w sprawy strojów i długości włosów.

Red. Jaroszewski wyjaśnia, że wiosną br. prezes Radiokomitetu wydał zarządzenie określające, jakie kto może mieć włosy. „Brekaouci" nie mieszczą się w tych ramach, reżyser zaproponował im schowanie włosów pod jakieś czapeczki, czy kapelusze, do uzgodnienia, a oni nie zgodzili się. A co do strojów to chyba zespół stać na coś lepszego niż powyciągane koszulki z przykrótkimi rękawami, pewnie po 15 zł sztuka.

Red. Walicki wyjaśnia, że stroje były wykonane ściśle według projektów.

Red. Jaroszewski radzi, by w takim razie zespół znalazł sobie lepszego projektanta.

Red. Walicki odpowiada — a ja orientuję się już, że w równym przynajmniej stopniu, co prasę, reprezentuje „Brekaoutów" — iż stroje projektowała córka... I tu pada tak duże nazwisko, że zaparło mi dech.

Red. Jaroszewski skubie nerwowo brodę, obciąga golf z krótkimi rękawami zadrukowany portretami „Skaldów" i proponuje, by nie absorbować tą sprawą czasu wszystkich zebranych, a załatwić ją dwustronnie.

Na wieczornym koncercie „Brekaouci" wystąpili w sportowych koszulach z jakiejś dzianiny i kiedy zapytałem ich po koncercie, jak się ostatecznie skończyła historia ze strojami, któryś machnął z rezygnacją ręką i powiedział: „Widzi pan? Uparli się i musieliśmy w ostatniej chwili kupić w sklepach coś z masówki". Z włosami też przegrali: wychodząc na estradę spinali je starannie damskimi szpilkami, przez co wyglądali na mniej zarośniętych niż w rzeczywistości. Bowiem w rzeczywistości zespół nosi włosy opadające już nie na kark, a na ramiona. Włosy to jednak zadbane, wyszczotkowane, uczesane, to widać. Najdłuższe ze wszystkich zespołów.

„Brekaouci" zdobyli moją sympatię między innymi i dlatego, że nagrodę Polskiej Federacji Jazzowej (za prezentację utworów wspólnie z Włodzimierzem Nahornym) przeznaczyli w całości na wykupienie willi „Atma" w Zakopanem, w której niegdyś mieszkał i tworzył Szymanowski.

Ale czy warto tyle o włosach lub strojach? I czy w ogóle warto tyle o festiwalu? W roku 1963 zorganizowano go jako skromną lokalną imprezę, dla celów reklamowych raczej ogłaszając ją za ogólnopolską, co zresztą też nie było jakimś niezwykłym chwytem, gdyż piosenka polska przechodziła wyraźnie kryzys. I oto nagle taki szalony rozwój tej imprezy! Może zresztą nie imprezy, a piosenki? Czy festiwal rozrósł się pod wpływem rozwoju piosenki, czy też festiwal (ten i inne) skłonił tylu ludzi do śpiewania i grania przed publicznością? W każdym razie dziś to już nie te czasy, kiedy każdy, kto chciał, kupował na swój koszt bilet, jechał do Opola i występował. Dziś jedzie się za pieniądze radia i TV, a za występ dostaje honorarium. Ale dziś debiutantowi wystąpić nie jest tak łatwo. Przeprowadza się eliminacje wykonawców i utworów. Nawet zakwalifikowanie się do występu w którymś koncercie nie oznacza jeszcze zaprezentowania wykonawcy czy utworu.

— Dlaczego nie wykonano piosenki „Jestem cała w twoich rękach"? — pyta na wspomnianej tu konferencji prasowej red. Falkowski ze „Współczesności" — skoro figurowała ona w programie? Mnie nie obchodzi, czy autor siedział w więzieniu, czy nie, piosenka jest interesująca i nie widzę powodu, by w ostatniej chwili ją wycofywano.

Red. Jaroszewski odpowiada, że wyjaśnił już to red. Falkowskiemu prywatnie, lecz jeśli ten chce, może i publicznie. Otóż komisja artystyczna, zafascynowana pięknem tekstu tej piosenki, zakwalifikowała ją do koncertu premierowego. Ponieważ jednak muzyka, przedstawiona później, okazała się nieszczególna, piosenkę postanowiono przenieść do maratonu kabaretowego, gdyż w kabarecie główną rolę gra tekst i aktorstwo wykonawcy. Maraton jest imprezą telewizji. Red. Filler zaproponował nam wykonawczynię słabą i my nie przyjęliśmy jej. A żadna inna piosenkarka nie chciała się podjąć wykonania tej piosenki, ze względu na zbyt śmiały tekst.

Red. Falkowski wyjaśnia, że jest przyjacielem autora, stąd uważa za swe moralne prawo kontynuowanie sporu. Otóż w słowach „i na krześle ma sukienka. Jestem cała w twoich rękach" nie ma nic drastycznego. Małgorzata U. była do tego gotowa. Proszę się nie śmiać — to znaczy była gotowa to zaśpiewać. Oficjalnie nie było obiekcji co do tekstu. Za jedyne 10 zł każdy może sobie kupić w kiosku zbiorek „Opole 69" ze słowami tego utworu. Dlaczegóż więc polska piosenka miłosna nie trafiła do słuchaczy?

Ktoś z sali: — Za to dociera tyle złych...

Ktoś z sali: — Niejeden utwór napisany w więzieniu został upowszechniony z pożytkiem dla odbiorców. Oceniajmy buty, a nie morale szewca!

Dwaj inni panowie, nazwisk nie znam, wstają i zaczynają gwałtowny spór, zupełnie jakby chodziło im o pieniądze.

Właściwie to chodzi o pieniądze. Jeśli nie w wyżej opisanym przypadku, to w ogóle, przy piosenkach na pewno.

Oto na estradzie 15-letnia Danusia Sobik z Gotardowic pod Rybnikiem, uczennica klasy pierwszej liceum ekonomicznego. Debiutowała publicznie 3 lata temu w Rybniku... Piękny, silny głos, już nieźle wyszkolony. Kiedy rozmawiałem z nią zaraz po zejściu z estrady, była po prostu wzruszona swym występem na takiej dużej imprezie. Za piosenkę „Wiatr wiosenny gitarzysta" (muzyka K. Sadowskiego, słowa T. Kubiaka), dostała nagrodę beskidzkiego schroniska turystycznego „Na Prehybie" — dwutygodniowe wczasy dla siebie i mamy. Kiedy rozmawiałem z nią tuż po koncercie laureatów, Danusia miała za sobą już wiele rozmów z kierownikami i impresariami różnych zespołów. — Może wstąpisz do nas? Dajemy tyle i tyle za jeden występ. — Może pojedziesz z nami w lipcu na koncerty na Wybrzeże? — We wrześniu ruszamy na tournée po Bałkanach. Zgoda?

Na szczęście Danusia przyjechała ze swą rodzicielką, która pilnowała, by córce nie zawrócono w głowie. Nie wstąpi do żadnego znanego zespołu, nadal będzie śpiewać u siebie w Rybniku i

Śpiewa Jacek Zieliński.

CAF Rosiak

wkuwać arkana księgowości w technikum. Menagerowie piosenki zapewne będą jeszcze nieraz próbowali przełamać upór pani Sobikowej. Danusia byłaby magnesem przyciągającym publiczność. Patrzcie państwo, taka młodziutka, a już śpiewała w Opolu! No, a poza tym nowa twarz. Trzeba zobaczyć! Publiczność żąda nowości.

Przy tym dobijaniu się na rynek takiej masy nowych kandydatów na artystów zawodowych utrwalić się mogą albo znakomite głosy, albo wybitne indywidualności, albo najlepsze zespoły muzyczne, albo wykonawcy o jakim takim warsztacie, pozwalającym im na prezentowanie utworów kabaretowych, zabawienie publiczności, albo wreszcie postacie charakterystyczne, zdolne czymś specjalnym zdobyć widza. Za taką uważam m. in. Marka Grechutę. Głos niewielki, a przecież ma tylu wielbicieli. Jest bowiem inny niż wszyscy. Występuje ze znakomitym zespołem „Anawa", urzeka prostotą i staroświeckością muzyki przedstawianych piosenek, ma dziecięcą, cherubinowatą buzię, uśmiecha się nieśmiało, nieporadnie... Występuje od ponad półtora roku, zawsze ma komplet widzów. Jak długo jeszcze? Czy popularność jego będzie rosła, czy też przeminie, podobnie jak przeminęła np. popularność Piotra Szczepanika, też przecież oryginalnej postaci artystycznej? Szczepanik występuje od pewnego czasu w Związku Radzieckim i tam, gdzie nie jest jeszcze opatrzony, zbiera same pochwały. Grechuta wybiera się ze swoim zespołem na 3 miesiące do ZSRR. Zwierzał mi się ze swoich niepokojów: jak przyjmie go widownia, nie rozumiejąca tekstów jego piosenek? To przecież będzie jakiś sprawdzian.

Publiczność żąda nowości. „Czerwono-Czarni", za którymi tak niedawno jeszcze szalała młodzież, dziś nie mogą liczyć na większe powodzenie. „Walentyna-twist" w wykonaniu „Filipinek" był niegdyś szlagierem śpiewanym jak Polska długa i szeroka. Teraz „Filipinki" ustąpiły miejsca „Alibabkom". Trudno jest utrzymać się na szczycie, a kto nie utrzyma się, leci bystro w dół. Nowi napierają. Oto „Wiślanie". Powstali w grudniu ub. roku, ćwiczą od marca br. — sześciu muzyków oraz dwoje solistów. Grażyna Litwin, pochodząca z Radomia i Janusz Hryniewicz, dwudziestoletni absolwent średniej szkoły muzycznej.

Kamena str. 6

„robi" im tę wyciszoną, lekko katarynkowatą kameralność.

Skoro już składam to, co rozdzieliłem, warto może trochę poogólniać. Obiegowa teza publicystyczna brzmi: autentyczny folklor reprezentują dziś tylko ludzie wiekowi, pokolenie, wraz z którym wymrą resztki kultury ludowej na wsi. Jest w tym coś z prawdy, ale nie tak znowu wiele. Istotnie, wśród zespołów i solistów przeważali ludzie starsi. Ale był też zespół młodzieży — „Jodełka", działający przy technikum w Żywcu. Widziało się generację średnią i młodą w innych zespołach (np. z Sopotni, z samego Żywca). Bo tradycje muzykowania sięgają u tych ludzi kilku pokoleń i przyuczanie młodych stało się również tradycją. Nie chodzi tu tylko o przekaz wartości muzyczno-wokalnych, tam się bowiem dziedziczy także pewne elementy obyczaju. Która „nowoczesna" panienka nosi teraz takie „prawdziwe" warkocze, jak dziewczyny-solistki w kapeli góralskiej z Żywca (II nagroda wśród kapel)?

Zresztą dziedziczy się też oryginalne instrumenty. Nie każdy zaś młodzian ze wsi przekłada gitarę elektryczną nad — powiedzmy — ogromną trombitę, co ją dwu chłopa musi obsługiwać (kapela z Żywca), czy nad unikalną kozę Bolesława Trzmiela, jedyny bodaj na Podhalu instrument o tej rozpiętości dźwięków — jak mi podpowiedziała siedząca obok etnograf. Zachowuje się również pamięć gwary — w oczywisty sposób. Jakoś więc ten folklor się „trzyma" i to z niejakimi perspektywami. Trzeba tylko umieć ludzi młodych przy nim zatrzymać, wdrożyć ich w szacunek i pamięć dla własnej chłopskości. Ale to już osobna rzecz.

Pociesza fakt, że osoby, które czynnie kultywują folklor wiejski, są często bodaj jednym z najwartościowszych elementów ludzkich na określonym terenie. Pracują na roli i choć przeważnie grywają „po weselach i zabawach", nikt zazwyczaj nie myśli o „zawodostwie" muzyczno-wokalnym. Jest to czysta w swych intencjach amatorskość. Z trudem wygospodarowują czas na rzadkie próby, ale znajdują go jednak na zbieranie i opracowywanie miejscowych przyśpiewek czy melodii. Niejednokrotnie muszą sami szyć własne stroje ludowe (np. kapela z miejscowości Łyse pow. Kolno — wyróżnienie). Chodzi więc o działania spontaniczne. Chodzi też o samorodne uzdolnienia. Oto jaką przyśpiewkę wraz z odpowiednią melodią ułożyły prywatnie i na poczekaniu solistki zespołu z Kolna i zadedykowały ją swemu opiekunowi z ramienia WDK-Lublin: „gdzie nasz opiekun poleciał (bis), co nam literka obiecał" itd. No i w ten sposób się rozczuliłem. Ale wracając do sprawy, gdyby nie fakt, że słowo jest dokumentnie zarżnięte, powiedziałbym, iż ludzie, o których mowa, stanowią przeważnie aktyw wiejski (np. uczestniczki kapeli z Kolna działają w ośrodku nowoczesnej gospodyni).

Rys. Edward Inglot

•

Skorom już rzecz wstępnie rozwarstwił, a przynajmniej usiłował rozwarstwić, w kategoriach racjonalnych, pora dać upust wzruszeniom. A wzruszyłem się najbardziej przy jedynej kapeli prezentującej folklor miejski — 4-osobowym zespole z Bychawy, którym kieruje, jak przystoi, przewodniczący Prezydium PRN. Kostiumy też własnym sumptem zorganizowali. Ale nie o to idzie. Gdy zagrali i zaśpiewali „Zuzannę", znaną tylko w Bychawie, gdy usłyszałem owe u-sia-sia, u-sia-sia — dęte, ów tekst tak strasznie jarmarczny, że aż piękny, to zaraz mi się zwidziała atmosfera c. k. miasteczek, kilimów i makatek ze sławetnymi jelonkami, strażaków i panny Zuzi-służącej, a także wąsatego pana policmajstra... Toż to istny miód! Starym chłopakom z Kazimierza też bardzo się podobało, a ja następnie przypomniałem sobie swoją młodość maturalną, w okolicach warszawskiej Pragi i bazaru Różyckiego spędzoną, gdzie srebrem ciotki handlowałem, aby móc pójść z dziewczyną do lokalu, i gdzie się czasem słyszało takie przepiękne gaduły handlowe: „pociągnij pan kogutka za złotego fiutka, a wygrasz pan kolumne Zygmunta, kto ma żone w jedne strone, kto nie ma żony w obie strony", albo: „co się nameczem, co się natrudziem, spinki połamiem, mankieta pobrudziem, a krawata nie zawiążem, a oto amerykańska aparata do zawiązywania krawata..." itd. Och te miastowe targi! Z nieodłącznym cudownym płynem na odciski. Ja z kapeli bychawskiej nie kpię, ja semantyzuję subiektywnie potencjalne struktury znaczeniowe, w jakie może wchodzić folklor miejski, który kapela z powodzeniem prezentuje.

•

A na targ ludowy też poszedłem. Gorąc na rynku straszny, piwo wali w głowę, rozleniwia. Ale pracować trzeba. Rozmawiam z panią Jadwigą K., wycinankarką z Tomaszowa Lubelskiego. Pracuje w zawodzie pielęgniarki od przeszło dwudziestu lat. Od piętnastu — wycina. Nauczyła ją tego (podstawowych wzorów i umiejętności precyzyjnego operowania wielkimi nożycami) matka. Pani Jadwiga uczestniczyła w festiwalach sztuki ludowej. Dużo też sprzedaje. „A w życiu to ja byłam sama — powiada — mąż w świat poszedł, ale jestem szczęśliwa, wychowałam dwu synów, jeden skończył medycynę, drugi studiuje historię na UMCS-ie, chce być dziennikarzem". „Może pani na poczekaniu coś wyciąć?" — pytam. Bierze nożyce, paznokcie ma polakierowane, i tnie. Ładnie jej to idzie i szybko. Z boku ktoś dogaduje — „lipa, nie wycinkarka, ona ma wszystko wyrysowane i tnie po linii". „Ech, ludzie" — mruczę.

•

Gdyby szło o wieczór poezji lubelskich twórców ludowych, to najbardziej by mi się podobała ta pani w niebieskiej sukience. Jeśli natomiast mowa o samej poezji, fachowo powiedzianej na dziedzińcu SARP-u przez recytatorów z lubelskiego WDK, to za wiele tam było nastrojów, słodkich poetyczności właśnie, za mało zaś surowego autentyzmu, który może doszedłby do głosu, gdyby recytowali sami autorzy (tak jak podczas wieczoru gawęd). Ale wiersze Pocka wytrzymały i to, bo poeta faktycznie tęgi, już właściwie w kategoriach ZLP-owskich.

•

Z Kazimierza wracałem wielce ukontentowany, choć do koszyka, który żonie kupiłem, jakiś dowcipniś włożył pustą półlitrówkę po wódce. Co ja w domu miałem! W Kazimierzu zostawiłem wielce ukontentowanych tubylców. „Starym to nie przeszkadza, a młodym lepiej — świeże babki przyjechały" — powiedział jeden. Ale — bez urazy — to była doprawdy piękna sprawa ten festiwal. Jeszcze by się chciało wspomnieć o ludziach, co go organizowali albo się nim opiekowali, o niestrudzonym Włodzimierzu Dębskim na przykład. Lecz to osobny temat. A też i nie zawsze podatny na wzruszeniowo-pochwalną konwencję, jaką tu przyjąłem. Sam festiwal był zorganizowany pierwszorzędnie, poza może konferencją prasową, która miała odbyć się o godz. 23, ale która się w końcu nie odbyła, nie bardzo wiadomo dlaczego. A szkoda, bo taką imprezę trzeba należycie reklamować i trzeba o niej informować. Ale to już — wreszcie — drobiazg. Jeśli natomiast miałbym ochotę ponarzekać na organizacyjne zaplecze amatorskiego muzykowania twórców ludowych, to przede wszystkim myślałbym o opiece ze strony władz terenowych. Często niedostatecznej lub za mało... subtelnej. „Wymagają wiele, rocznice, akademie itd., ale sami nic nie chcą dać" — powiedział jeden z kierowników zespołów. Do tego może wrócę, ale już nie w tym kontekście, gdzie przecież chwalić zamierzałem.

Jeśliśmy cokolwiek zgrzeszyli przeciw fachowej muzykologii czy folklorystyce, niech mi zainteresowani wybaczą, polonista jestem. I niech mnie może na przyszły rok zaproszą. Bo mam nadzieję, że ten pierwszy na skalę ogólnopolską festiwal wejdzie na stałe do tradycji letnich imprez w Kazimierzu. Tak samo jak i konferansjerka Wojciecha Siemiona oraz tej pani w niebieskiej sukience.

Kazimierz Eugeniusz Sześzuk

* * *

Janowi Szczawiejowi

w chłodnych alejach
kasztany gubią pszczeli kwiat
trawa pachnie kadzielnianym dymem
Katedra wieżami wystrzeliła dumnie
ku nieba błękitnej muszli

biją dzwony

z Katedralnej Góry
widzę kwitnącą gałąź czeremchy
prostokąty dachów na stłoczonych domach
podpierają słoneczne południa
to Chełm usiadł wśród pól
jak zmęczony pielgrzym

biją dzwony
dzwonią dzwony
dzwony w dzwony

od pól
wiatr przynosi słodycz bujnej zieleni

Wszyscy występowali dotychczas w zespołach amatorskich, jeden nawet w zawodowym. Teraz już mają angaż do „Estrady" szczecińskiej, zamówienie na dwa występy w telewizji, kontrakt na serię koncertów na Wybrzeżu...

24-letni Andrzej Zieliński, II solista (pierwszym jest jego brat, Jacek), organista, kierownik artystyczny i muzyczny oraz kompozytor zespołu „Skaldowie", z którym umówiłem się na dłuższą rozmowę, wyjawiał mi swe poglądy na dzisiejszy beat. A więc, że musi być w nim zachowane poczucie swingu, które początkowo było eliminowane, także i przez nich, gdy zorganizowali się w roku 1965. Zespół musi jednak przechodzić ewolucję, iść z nurtem, przy czym nie chodzi tu tylko o nurt mody, lecz i potrzeb współczesnego człowieka, też stale zmieniających się i coraz bardziej poszerzających się.

— Przecież wielkie powodzenie ma obecnie na całym świecie ta sztuka, która wymaga od odbiorcy ciszy, najwyższego skupienia się. Widoczne to jest i w muzyce, i w malarstwie, i w innych dziedzinach. I jakby dla równowagi człowiekowi potrzebna jest też sztuka bardzo ekspresyjna. Czyż takim zjawiskiem nie jest happening? A w muzyce mocne uderzenie? Dziś zresztą nawet bel canto wykonuje się z mikrofonem przy ustach, a jeśli pieśniarzowi towarzyszy np. kwartet smyczkowy, to instrumenty trzyma się tak blisko mikrofonu, że publiczność oprócz melodii może usłyszeć i tarcie smyczków o struny. To już są elementy perkusyjne. Nie każdy jest w stanie przystosować się do nowości. Trzeba wiedy umieć wycofać się, bo inaczej grozi zepchnięcie na marginesy, drobne chałturki. Śpiewam sam swoje utwory. Zdaję sobie sprawę, że jest wiele osób z lepszymi głosami, lecz myślę, że ja najlepiej potrafię odczuć swoje piosenki, a zatem, że ja najlepiej przekażę je słuchaczom. Bo przecież na piosenkę składa się nie tylko głos, ale i szereg innych, nie mniej ważnych czynników. W ogóle jednak, to źle, że u nas nie ma jakiegoś studium dla piosenkarzy, na którym pomagano by młodym w wydobyciu ich wszystkich walorów głosowych. Marzę o tym, by w przyszłości coś takiego powstało. Chętnie bym je poprowadził.

— Pyta pan o ekscentryczność strojów i fryzur? Taka jest moda w świecie beatowym. To też pomaga w wytworzeniu pewnego ekspresywnego nastroju. Mógłbym zresztą spytać, dlaczego mam się nosić nie według mody beatowej, a według biurowej? Nasz wygląd jest przecież jednym z czynników oprawy plastycznej koncertu. Gdyby nie telewizja, może nosilibyśmy się bardziej szaro. Być może, bez telewizji inaczej klasyfikowano by poszczególne zespoły. Telewizja kolorowa przyniesie na pewno dalsze zmiany. Niech pan też weźmie pod uwagę, że moda na secesję ogarnia wiele dziedzin, także krawiectwo i fryzjerstwo, poddaje jej się coraz więcej ludzi, artyści przyjęli ją tylko szybciej. Poza tym, jeśli to jest secesja, od artystów żąda się zewnętrznych objawów nowej cyganerii. Odmowa mogłaby oznaczać zmniejszenie uznania.

Zieliński, jak państwo widzicie, idąc z prądem, stara się analizować sytuację. Być może ma słuszność w swoim wywodzie. Artysta musi dziś umieć zwrócić na siebie uwagę. W każdym razie ułatwia to sukces. Maria Waliniak z Lublina zyskała bardzo przychylną opinię wszystkich krytyków, z którymi rozmawiałem, ma głęboki głos i niebanalnie interpretowała swoją piosenkę „Cygańskim szlakiem" (muz. J. Miliana, słowa J. Urbanowicz), lecz brawa zebrał przede wszystkim Jan Kuzio, akompaniujący jej na skrzypcach, za swoją mimikę i gestykulację, którą zabawiał całą publiczność. Halina Frąckowiak, niewątpliwie wschodząca sława, zwracała na siebie dodatkową uwagę jaskrawoczerwonymi elastycznymi spodniami, kontrastującymi z białą bluzką z falbankami, Maryla Rodowicz prezentowała się niczym bajkowa rusałka z rozpuszczonymi włosami, „Amazonki" wystąpiły w czarnych kozaczkach z cholewkami tak długimi, że jeszcze trochę, a byłyby to nie buty, lecz rajstopy, oraz w czarnych skórzanych spódnicach, tak krótkich, że jeszcze trochę, a byłyby to nie spódnice, lecz szerokie pasy, na jakie zresztą teraz moda. Są to wszystko efekty przemyślane, zaplanowane. „Trubadurzy", bardzo miła grupa, występują w uniformach muszkieterów, różnobarwnych, lecz identycznie skrojonych, mają jednakowo przystrzyżone włosy oraz wąsy i brody, a śpiewając i grając tańczą niemal na scenie, co pozornie wygląda na spontaniczne zachłystywanie się własną produkcją, a w rzeczywistości jest do najdrobniejszego szczegółu przygotowane, wszystkie ich ruchy są w każdym momencie jednakowe i zsynchronizowane ze sobą. Poza estradą ubierają się spokojnie i w sposób mało zwracający na siebie uwagę.

Ale nie wszyscy muszą liczyć się z nowinkami mody, nie wszystkim grozi zepchnięcie z piedestału przez wyż demograficzny. Umiejętność dobrego rozbawienia publiczności, to gwarancja oparcia się zmianom gustów publiczności. Wykazały to w Opolu przykłady Jaremy Stępowskiego oraz „Silnej grupy pod wezwaniem" z Tadeuszem Chyłą i Kazimierzem Grześkowiakiem na czele, choć jeśli chodzi o tego ostatniego, to zapewne z czasem, po minięciu głównej fali uwagi publiczności, zajmie się układaniem tekstów, podobnie jak to już teraz wyraźnie występuje u Wojciecha Młynarskiego, którego teksty w wykonaniu innych dostawały liczne brawa, on sam natomiast, pojawiwszy się na estradzie, nie wywołał większego wrażenia. Również Maciej Kossowski i Mateusz Święcicki coraz częściej komponują dla innych, sami zaś śpiewają już niewiele.

No i na końcu należy wymienić atut najważniejszy: znakomity głos i słuch, dobrze wyszkolony, poparty wyczuciem rytmu, pamięcią muzyczną, umiejętnością interpretacji, indywidualnością. Publiczność w Opolu składała się głównie z młodzieży, a młodzieży przecież przypisuje się zafascynowanie big-beatem i lekceważenie innych form muzyki, nawet muzyki rozrywkowej. Publiczność opolska (a właściwie nie opolska, tylko publiczność w Opolu, bo zjechali tam melomani z całej Polski) najgoręcej oklaskiwała nie zespoły mocnego uderzenia, lecz świetnych piosenkarzy: Renę Rolską, Joannę Rawik, Marię Koterbską, Halinę Kunicką, a nawet nestora naszej estrady, Mieczysława Fogga. A przede wszystkim pierwszą damę polskiej piosenki — Irenę Santor, choć „Nadleciał wiatr" z muzyką U. Rzeczkowskiej i słowami J. Stanisławskiego nie jest utworem łatwym do masowego śpiewania.

Inwazja nowych zespołów i solistów niesie ze sobą mnóstwo tandety, jest tu jednak nie tylko zakalec, lecz i kawałki smakowitego ciasta, a nawet nadzienie z rodzynków. Większość nowych adeptów estrady nie wyjdzie zapewne poza lokalne opłotki czy ostateczne eliminacje większych imprez. Ale sporo jest wśród tegorocznych debiutantów talentów dużej miary, więcej chyba niż na festiwalach poprzednich. Część z nich ma za sobą średnie lub nawet wyższe studia muzyczne. — Nieraz z niepokojem myślę, co będzie za kilka lat z nami, mającymi obecnie powodzenie, jeśli ci młodzi prawidłowo nad sobą popracują i rozwiną się — powiedziała Teresa Tutinas. Piosenkarka ta ma przecież dziś znaczne powodzenie, więc niepokój ten jest dość charakterystyczny. — Niektórzy się dziwią, że tak mało występuję, że odrzucam tyle korzystnych ofert. Muszę. Gdybym przeznaczyła wszystek swój czas na koncerty, nie mogłabym pracować nadal nad sobą, a to groziłoby mi wyeliminowaniem przez konkurencję — usłyszałem zwierzenie Steni Kozłowskiej.

Edward Hulewicz, piosenkarz z dużymi perspektywami, zaczął karierę zawodową pięć lat temu, jeszcze jako student geografii, dorabiając sobie występami w nocnym lokalu we Wrzeszczu, potem przez rok śpiewał w Czechosłowacji, następnie z „Tarpanami" w Poznaniu, a teraz współpracuje z „Heliosami"; mówił mi, że nie wyobraża sobie konieczności zejścia z estrady i powrotu do zwykłej pracy zawodowej, że nie jest w swych odczuciach odosobniony i że aula uniwersytecka, warsztat pracy czy biuro byłyby straszne, bo nie dawałyby już tej popularności, prasy, szerokich kontaktów, podróży. Nie mówił mi pan Hulewicz nic o sprawach finansowych, ale to jasne, że odpadnięcie z piosenkarsko-muzycznego Olimpu oznacza też raptowny spadek zarobków. Czyż dziwne, że rodzice panny Sobik chcą, by córka przede wszystkim zdobyła zawód, zapewniający jej trwałą egzystencję, czy też, że panna Stanisława Celińska, laureatka nagrody przewodniczącego Prezydium MRN w Opolu za piosenkę „Ptakom podobni" (muzyka R. Orłowa do słów Wł. Ścisławskiego), wolała najpierw ukończyć studia w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej i dopiero teraz chce wypłynąć na szersze wody estradowe? — Będę pracowała w Teatrze Współczesnym — mówi. — Chciałabym pogodzić scenę z piosenką, lecz przede wszystkim cenię scenę, bo to nie efemeryda, lecz zawód. A tyle razy proponowano mi występy w różnych składankach, a nawet w filmie, z trudem odczekałam do dyplomu.

Nie wszyscy jednak tak myślą. Rezultaty: co roku nowa grupa rozczarowanych, którzy przestali się już podobać, muszą kończyć karierę i myśleć o innej pracy.

Potop piosenki i zespołów bigbeatowych, choć przyniósł sporo szmiry, jest na pewno zjawiskiem bardzo pozytywnym. Ujawnił bowiem niejeden talent, wpływa na stałe podnoszenie się poziomu czołówki, rozśpiewał społeczeństwo, dotąd chętne głównie do „Góralu, czy ci nie żal" i to w ściśle określonych okolicznościach. Współczesna piosenka polska znalazła nagle szerokie rynki zbytu i w ZSRR i w USA.

Recenzenci mają sądy często dość osobliwe. W. Filler napisał w „Kulturze", że gdyby chodziło o niego, nie puściłby Joanny Rawik do Sopotu. R. Teyszerowski natomiast w katolickich „Kierunkach" zachwyca się nad mistrzowskim wykonaniem w Opolu przez tę piosenkarkę „Romantyczności", podobnie ocenia ją A. Wróblewski w „Życiu Warszawy" i T. Grabowska w „Trybunie Ludu". Pani Rawik dostała przecież nagrodę dziennikarzy, zresztą dość zgodnie przyznaną przez to zróżnicowane ciało. Razem z nią przyznano nagrodę prasy „Silnej grupie", która od dawna nie mogła trafić przed kamery TV.

Piosenka bowiem to nie tylko sztuka, rozrywka, odprężenie i interes. Festiwal w Opolu zorganizowany był znakomicie, właściwie bez punktów ujemnych, lecz nie był to festiwal ściśle opolski. Znaczna część organizatorów i jurorów pochodziła z Warszawy, być może nawet główna część, niektórzy z nich są związani z poszczególnymi zespołami. Ci sami ludzie pojadą zapewne organizować festiwal sopocki i inne. Czy to jest słuszne, czy to nie zwalnia tempa życia kulturalnego poza Warszawą? Opole na pewno stać było na zrobienie wszystkiego samemu, ewentualnie przy pomocy kilku konsultantów z TV Warszawa i zaproszenie kogoś ze stolicy do jury. Nagrody jury w Opolu nie objęły niektórych utworów momentalnie podchwyconych przez publiczność. W tych dniach śpiewało się na ulicach miasta „Mariolo, Mariolo, moja ty dolo, niedolo", zabawną piosenkę o pastuszku i gąskach (słowa R. Sadowskiego, muzyka T. Chyły), którą nagrodziła nie komisja konkursowa, a prasa. W restauracji „Pod Pająkiem", zarezerwowanej dla uczestników festiwalu, królowała pani Pisarek. „Nie warto było z losem się droczyć, kłamały usta, kłamały oczy" — grzmiała chórem sala i coraz to rozlegały się okrzyki „Regino, śpiewaj". Niejeden czołowy piosenkarz czy piosenkarka nie przyjechali na festiwal, prawdopodobnie w obawie despektu pominięcia przez jury. Zresztą kto tam wie: jeśli znany konferansjer obraził się z powodu (jak pogadują — mimo jego dementi) zaproponowania mu zbyt niskiej stawki... „Komu piosenkę"?

Romuald Wiśniewski

Kamena str. 7

NOWE PRZEKŁADY Z POEZJI ROSYJSKIEJ Kazimierza Andrzeja Jaworskiego

Aleksander Twardowski

* * *

Wiem, żadnej winy nie ma z mojej strony,
Że ci czy owi nie wrócili z wojny
I że zarówno starzy jak i młodzi
Tam pozostali; nie o to też chodzi,
Żem chciał, lecz nie mógł ich śmierci zażegnać,
Nie o to chodzi, a jednak, a jednak...

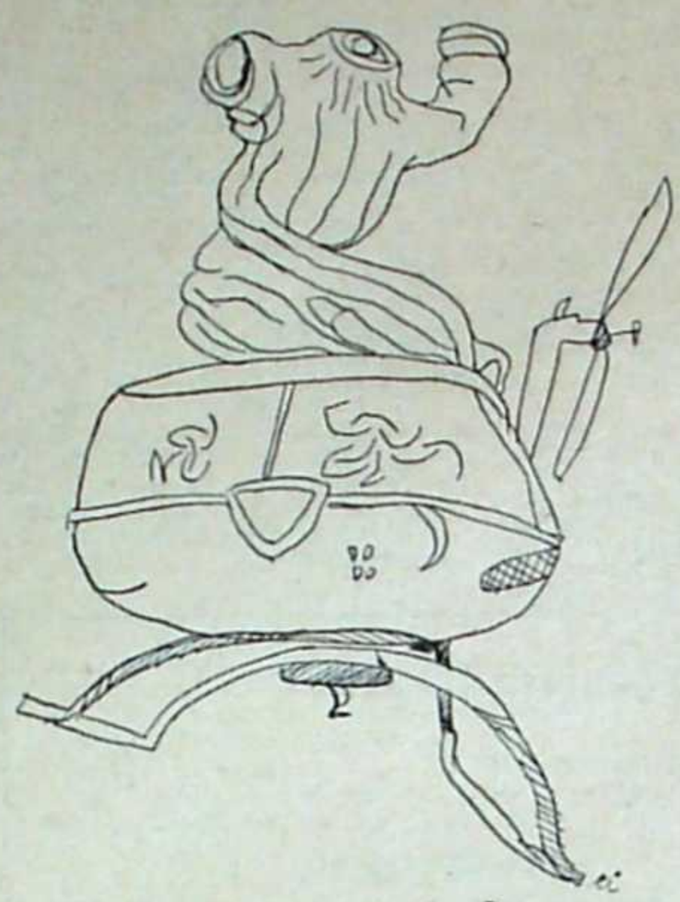

Eugeniusz Winokurow

Twórczość

Człek jaskiniowy uczył się rysować,
Ale że obca była mu wytworność,
Ciężkim kamieniem zaczął ryć i kować
W ścianie figurę bizona toporną.

Przypadek tylko. Niebezpieczna próba.
Skończył i po raz pierwszy od stworzenia
Z oczu zwierzęcych łza spłynęła długa
Po człowieczemu ciekąc z rozrzewnienia.

I tajemnicą swą przejęty straszną,
Czuł, że już nie ma powrotu z tych szlaków,
Gdy z łzy ocierał rozjaśnioną twarz swą
W poczuciu winy pierwotnym kułakiem.

Kosmaty, dziki, w skórę przyodziany,
Z grymasem twarzy, z głową, co się trzęsła,
Pełen radości był dotąd nie znanej,
Słodszej od miodu, sytniejszej od mięsa.

Bułat Okudżawa

* * *

Zasypia moje miasto. No ale cóż mi z tego!
Ja byłem jego chłopcem i niańką byłem jego,
byłem jego żołnierzem i robotnikiem byłem,
a ono zbyt zdziwioną miłością mnie darzyło
i zbyt ostrożnie rękę mi swoją podawało,
pamiętało mię w piątek, w świątek zapominało.
I jeśli kiedyś zginę, i jeśli żyć przestanę,
czy ono wtedy z krzykiem rozpaczy ze snu wstanie?
Czy wyśle, zasmucone, nim zaśni dzień wspaniały,
szczęśliwe swe kobiety, by mnie opłakiwały?...
Lecz z każdym dniem wciąż czyściej i wciąż je
kocham gniewniej
i z tej miłości swojej mych bogów co dzień rzeźbię.
Niczego mi nie trzeba, nie chcę współczucia głosów:
wystarczy mi gitara i paczka papierosów.

Pierwszy gwóźdź

Budowa miasta zaczyna się od funta gwoździ.
Pierwszy gwóźdź w pierwszej belce rdzewieje,
najdroższy.
A potem już są czasy nowosiedlin, gości...
I każdy drogi gość jest w makintoszu.
A potem pierwszy dom oblewamy — śpiewamy,
gość się rozrzewnia, głowa mu się chwieje...
Pierwszy gwóźdź w pierwszej belce rdzewieje,
pijemy,
on rdzewieje,
pijemy,
on rdzewieje.

Piotr Siemynin

* * *

Co tam naszeptał motyl skrzydełkami
Szaremu kamieniowi?

Co namrugała skroś listowie gwiazda
Jezioru pośród lasu?

Co nadrzemały w żar południa trawy
Szyszce, co spadła z jodły?

O tym wiedzą tylko małe dzieci
I wiedział jeszcze poeta
Bezdomny prezes
Ziemskiego globu
Gwiezdny Wielemir.

* * *

Jeżeliś nigdy nie umierał,
Bo zmógł cię obcy ból człowieczy,
Jeżeli nigdy nie płakałeś
Nad barwą, dźwiękiem albo słowem,
Jeżeli nigdy nie widziałeś,
Jakie ma piękne oczy prawda
Nawet, gdy ją się ukrzyżuje —
Wara ci zbliżać się do sztuki.

Lew Ozierow

* * *

O tobie pragnę myśleć. Więc myślę o tobie.
O tobie nie chcę myśleć. I myślę o tobie.
O innych pragnę myśleć. A myślę o tobie.
O nikim nie chcę myśleć. I myślę o tobie.

Włodzimierz Sołouchin

Człowiek pieszo po ziemi idzie

Człowiek pieszo po ziemi idzie.
Oto zaraz prawą on nogę
Przestawi pół metra naprzód bez pośpiechu.
A potem jeszcze pół metra bez pośpiechu
Przestawi lewą nogę.
Metr odległości.
Kilometr odległości.
Glob ziemski — odległością.
Człowiek idzie po ziemi — piechur,
Laską stuka o drogę.

Człowiek na koniu — wiatr do płuc się wdziera.
Na grzywie — dłoń.
Ale nie grzywa ściśnięta — wola.
Ziemia ucieka.
Ziemia daleka.
O ziemi zapomnij teraz.
Tylko wiatr w płucach i grzywa, i koń.
Tylko pęd ten przez łąki i pola.

Człowiek przy kierownicy, między nim a ziemią beton ciągle.
W motorze stu dwudziestu diabłów, opony mocne i prężne.
Powietrze na spotkanie jęczy mu przeciągle.
Wola goni. Pęd wprost — w dłoni.
Spod kasku w jeden punkt wpatrzone oczy mężne.
Widzą oczy: wskazówka — setka przekroczona.
Widzą oczy: ostrzegawczy znak.
I wciąż lecący beton, bez końca lecący,
Który leci przez oczy i przez mózg zmęczony.
O, gdybyż świat już przestał migać z każdej strony.
Ale migają wioski,
Lasy migocą.
Wiadukty,
Mosty,
Ludzie,
Płot,
Krowa,
Baraki
Wciąż szybciej migają, wciąż szybciej, wciąż szybciej mknące.

Człowiek — lotnik. Można rzec — skrzydlaty.
Dziesięć tysięcy teraz ponad ziemią
(Ponad rzeką, nad sosną, nad wioską) wysoko.
Nic nie miga. Ziemia prawie nieruchoma.
Ziemia okrągła, ziemia mglista, ziemia w dole głęboko.
Nie ma ziemi. Pustka w całej rozciągłości!
Dziesięć tysięcy teraz wysokości:
Ani kur nie zapieje,
Ani wezwie do pracy syrena,
Ani śpiewu,
Ani śmiechu,
Ani gwizdu ptaka tu nie ma.

No a człowiek tymczasem idzie pieszo po ziemi
Oto zaraz prawą on nogę
Przestawi pół metra naprzód.

On się patrzy, jak trawka kroplę deszczu spija.
On się patrzy, jak pszczoła w kwiatku się uwija.
On się patrzy, jak mrówka się żwawo posuwa.
On się patrzy, jak kowal podkowę wykuwa.
On się patrzy, jak zboże żnie prędko maszyna.
Jak strumień się wygina.
Jak nad strumieniem leży drzewo.
Skowronek nad nim w górze śpiewa.

Człowiekowi jest ciepło. Więc zdejmuje czapkę.
Idzie gdzieś tam po dobrej, po zielonej ziemi.
Oto zaraz pół metra naprzód bez pośpiechu
Przestawi lewą nogę...
Metr odległości,
Kilometr odległości,
Glob ziemski — odległością!
Człowiek idzie po ziemi — piechur,
Laską stuka o drogę.

Rys. Edward [illegible]

Nawet Jarosław Iwaszkiewicz...

„Iż Polacy nie gęsi..."

ZPEWNOŚCIĄ wszyscy znamy i lubimy „Rozmowy o książkach" Jarosława Iwaszkiewicza, pojawiające się co tydzień w numerze niedzielnym „Życia Warszawy". Ujmują one umiejętnością nawiązywania przez pisarza kontaktu z szerokimi kręgami czytelników, dzielenia się z nimi wrażeniami z niezwykle rozległej lektury, jasnego i przejrzystego stylizowania wypowiedzi. Wiedząc o tym, nie przypuszczałem, by język uroczych felietonów mógł mi dostarczyć materiału do rozważań poprawnościowych. A jednak... A jednak w odcinku poświęconym omówieniu powieści Emily Brontë „Wichrowe wzgórza" („Życie Warszawy" nr 112 z 11—12 V br.) znalazłem zdanie, w którym zachodzi niewątpliwie naruszenie norm poprawności językowej. Cytuję:

„Ale, ujrzawszy ponury, kamienny dom, (...) zabrakło jej odwagi" Imiesłów „ujrzawszy" zastępuje w tym zdaniu formę osobową czasownika „ujrzała" w połączeniu ze spójnikiem „gdy" lub zaimkiem „kiedy", czyli jest odpowiednikiem zdania czasowego. Tego rodzaju konstrukcję gramatyczną nazywa się imiesłowowym równoważnikiem zdania. Znajduje ona nader często zastosowanie w języku pisanym, rzadziej w mówionym, i jest bardzo przydatna, bo pozwala trochę skrócić wypowiedź. Zdanie: „Będąc w Warszawie, wybiorę się do opery" jest dzięki zastosowaniu równoważnika nieco krótsze niż wypowiedź tej samej treści, której pierwszy człon stanowi zdanie podrzędne: „Kiedy będę w Warszawie, wybiorę się do opery".

Jeżeli tak jest, jeżeli imiesłowowe równoważniki zdania są ogólnie przyjętą w języku polskim konstrukcją składniową, to dlaczego dopatruję się w przytoczonym zdaniu naruszenia norm poprawności językowej? Otóż dlatego, że stosowanie takich równoważników podlega pewnym ograniczeniom. Polegają one na tym, że imiesłów będący równoważnikiem zdania musi się odnosić do podmiotu zdania nadrzędnego. Wyrażając się inaczej: można zastosować imiesłowowy równoważnik zdania tylko wtedy, gdy zarówno w zdaniu nadrzędnym, jak i podrzędnym jest ten sam podmiot. Wyjaśnimy to na przykładach. Porównajmy następujące zdania:

„Gdy czytałem ten list, doznałem głębokiego wzruszenia". „Gdy czytałem ten list, ogarnęło mnie głębokie wzruszenie".

Treść obu przytoczonych wypowiedzi jest taka sama, obie też są zdaniami złożonymi podrzędnie i w obu zdanie podrzędne jest zdaniem czasowym. Ale w pierwszym zdaniu, jest ten sam podmiot w członie nadrzędnym i podrzędnym (j a czytałem i j a doznałem), w drugim zaś podmioty są różne (j a czytałem, ale w z r u s z e n i e ogarnęło). Dlatego też w pierwszym zdaniu można i warto zastosować równoważnik imiesłowowy i napisać: „Czytając ten list, doznałem głębokiego wzruszenia". Jeżeli natomiast spróbujemy przekształcić tak drugie zdanie, powstanie twór bez sensu, bo z wypowiedzi: „Czytając ten list, ogarnęło mnie głębokie wzruszenie„ — wynika, że w z r u s z e n i e czytało list i k o g o ś ogarnęło.

Takie właśnie zjawisko zachodzi w cytacie z Iwaszkiewicza. Pisarz zastąpił w nim zwrot: „kiedy ujrzała" (podmiot: „ona") imiesłowem: „ujrzawszy", bo widocznie nie zauważył, że w drugim członie zdania jest podmiotem inny wyraz niż w pierwszym: rzeczownik „odwagi" (w dopełniaczu, bo podmiotu w tym przypadku wymaga czasownik „zabrakło").

Nie można, oczywiście, z tego przypadkowego wykolejenia językowego wyciągać wniosku, że język autora „Rozmów o książkach" jest niepoprawny. Potwierdza się jednak znana maksyma Horacego: „Quandogue bonus dormitat Homerus" — „Czasem i Homerowi zdarza się zdrzemnąć". Nie można też sądzić, że skoro posłużył się taką składnią autor uznawany za świetnego stylistę, uzyskała ona tym samym prawo obywatelstwa.

Przy sposobności jeszcze jedna uwaga na temat użycia imiesłowowego równoważnika zdania: Imiesłowem na -ąc można się posłużyć tylko wtedy, gdy czynności, o których jest mowa w zdaniu nadrzędnym i podrzędnym, są równoczesne. A zatem poprawne jest zdanie: „Pisząc artykuł, często zaglądam do encyklopedii", bo pisanie i zaglądanie odbywa się w tym samym czasie. Natomiast nie należy ani mówić, ani pisać: Tysiące pracowników dokształca się, uzyskując wyższe kwalifikacje", bo w tym wypadku dokształcanie się wyprzedza uzyskanie kwalifikacji.

Witold Kochański

Henryk Czarnecki

ZAMIAST tytułu są kropki. W ich ciszę można wpisać swoją własną, jeśli nie mamy na nią czasu wokół siebie. I usiąść wygodnie w fotelu... — Herbaty? Kawy?

— Mleka. Wtedy wydaje mi się, że jestem na wsi. Słońce się pasie na łące... Jeśli można — poproszę o zsiadłe.

— Nie wiem czy już się zsiadło.

— Mogę poczekać. Strasznie tu fajnie u ciebie. Zupełnie jak na wsi. Chałupka zabita deskami. Tyle, że to wieś zelektryfikowana. A przy lampie naftowej wszystko wygląda inaczej. Płomień taki mały... Poza jego kręgiem wieczór przybiera wymiary wieczoru. A w pełni elektrycznego światła podobny jest do dnia. Przy świetle wieczór w ogóle nie ma sensu. Podobnie i świt. On musi budzić się sam... Cywilizacja może i ułatwiła życie, ale jednocześnie je upraszcza. Straciliśmy umiejętność dostosowywania oczu do mroku i ciemności. A to tak przecież ładnie, gdy rozszerzają się źrenice. Gdy oczy dziwią się, że w zależności od oświetlenia wszystko przybiera inny sens. Jak by każdą rzecz mnożyło się przez nieskończoność. Świat staje się bogatszy... Powiedz! Widziałaś kiedy autentyczny poranek? Gdy po kolei gasną gwiazdy i zza węgła wychyla się świt? Najpierw blady, potem rozrzutny jak początkujący malarz, który nie wie, co zrobić z tysiącem farb. Wreszcie jędrny jak dziewczyna spod Łowicza w świątecznej zapasce.

— Ładnie o nim opowiadasz.

— Dlatego, że też go nigdy nie widziałem. Ale wierzę, że jest. Że go jeszcze zobaczę.

•

Takich poranków nie można spotkać na ulicach. Nie sprzedają ich w sklepach. Nawet w takich z zabawkami.

Wyrastają z pól. Z rosy. Zza drzew. Z ciszy. Są gdzieś daleko. Dalej, niż można dojechać normalnym pociągiem.

Ale zaczarowane pociągi wycofują już z ruchu. Można je sobie najwyżej samemu zaczarować.

— Lubisz tak jechać wszystko jedno dokąd?

— Co to za stacja?

— Nie wiem. Ale istnieją przecież stacyjki, których nie ma na realnej mapie dnia. Małe jak zapukanie palcem do drzwi.

— Dokąd wykupiłeś bilety?

— Też nie wiem. Wziąłem dwa. Ulgowe... Powyglądaj trochę oknem.

— Noc. Jakieś nieregularne kształty.

— To dobrze. Można obejrzeć nawet to, co może nigdy się nie zdarzy.

— Ale czasami? Z tobą?

— Wtedy trzeba jechać.

— Właśnie jedziemy.

— Wiesz?... Dziwne są te kasjerki na dworcach. Gdy poprosiłem o bilety — zapytała dokąd. A skąd my to możemy wiedzieć?... Co teraz widzisz?

— Konduktora.

Konduktorzy istnieją wiecznie jak oko opatrzności. Zezowate. Ale nie tym zezem, który się uśmiecha, lecz tym, który się wykrzywia. Tylko wygląda to na uśmiech, ale w rezultacie zawsze widać kły. Regulaminowe.

Konduktorzy składają się z kierunkowskazów, błyszczących guzików i nauczonej na pamięć lekcji. Posiadają także przyrządy do dziurkowania wszystkiego, co całe.

I poruszają się po torach. Po tych samych, utartych wciąż szlakach. I nie lubią podróżujących według taryfy ulgowej. Nawet jeśli to nikomu nie przeszkadza i taryfa posiada ważne pieczątki.

Przyzwyczaili się do czarno-białych i każdy inny kolor ich drażni.

— Proszę bilety do kontroli!

— Dokąd jedzie ten pociąg?

— Nie wiem. Ja tylko sprawdzam bilety.

— Czy te są dobre?

— Bardzo dobre. Zielone... Państwo na grzyby?

— Na poziomki.

— No to w Koluszkach przesiadka.

— A bezpośrednio nie można?

— Może i można. Ale lepiej z przesiadką.

Tak. Nawet jadąc prosto trzeba trochę dookoła. To wzbudza zaufanie. W międzyczasie poziomki dojrzeją.

— Proszę bilety do sprawdzenia.

— Czy to pośpieszny pociąg?

— Nie wiem. Ja tylko sprawdzam.

— Już pokazywaliśmy bilety.

— Nie szkodzi... Pani tak bez bagaży?

— Bez.

— Podróżny powinien mieć bagaż. Widziała pani kiedy prawdziwych podróżnych bez bagażu? Niech się pani postara o jakiś bagaż i przestanie się wyróżniać?... Państwo na grzyby?

— Na poziomki.

— Teraz się jeździ na grzyby. Wszystko się wtedy zgadza. Mam nawet dwa zbyteczne koszyczki. Tanio bym sprzedał, no?...

— My na poziomki.

— Co się pani tak uparła z tymi poziomkami? Grzyby praktyczniejsze. Zamarynować można. Ususzyć na zimę. Będą pierożki, zupka, no?...

— Nie lubię grzybowej zupy.

Jedzie pociąg przez dżunglę cywilizacji. Ludzie porozumiewają się jak maszyny. Trudno z poziomkami zmieścić się w regulaminie. Zawsze coś wystaje. Albo głowa, albo nogi...

A tu przecież pisze wyraźnie: nie wychylać się.

— Kontrola biletów.

— Już pokazywaliśmy.

— To było co innego. Przedtem sprawdzałem bilety, a teraz jest kontrola biletów... Legitymację na zniżkę!... Panie! Co to za imię? Takiego nie ma w kalendarzu... A może je pan sobie zmienił, co?

— Nie. To we mnie tkwi.

— Można wyrwać. Nie takie się rzeczy wyrywało. Zobacz pan. Prawa siódemka. Dwa korzenie rozgałęzione jak zwrotnice. I wyszedł. Co pan na to?

— Spróchniały?

— Aha!

— A ja mam wszystko zdrowe.

— Ale to mnie drażni. Jak się żyje między ludźmi, trzeba nazywać się jak człowiek... A może wy na gapę?

— Na poziomki.

— To nie na grzyby?

— Nie!

— Na pewno?

— Na pewno.

— Dobrze, dobrze. Zobaczymy... A nie mówiłem?... Bilety niedobre.

— Zielone.

— No to co? Ale kant mało ostry. Zaraz się napisze mandacik i trzeba będzie płacić.

. . . . . .

Zamiast zakończenia — znów kropki. Można w nie wpisać cenę. Kredytu się nie udziela. Zniżki nie obowiązują.

Czy wystarczy jednak tych wieczorów i poranków, by opłacić nimi przejazd zaczarowanym pociągiem przez stacyjki nie istniejące na realnej mapie dnia?...

Przyjaciel

Kazimierz Niechoda

NA SKWERZE przy ulicy Sielankowej miałem swoją ławkę. Spędzałem tam zwykle popołudnia. Po ulicy Sielankowej spacerują dziewczyny, całe mnóstwo dziewczyn. Wybierałem dla siebie co lepsze. Takie podkasane, o długich pomarańczowych nogach. Miałbym już zupełnie pokaźny zbiór ładnych dziewcząt, gdyby nie lalusie w zamszowych kurtkach, którzy bezczelnie zabierają mi moje dziewczyny. Wożą je potem na skuterach do lasu, aby przed użyciem wstrząsnąć. Bo tak naprawdę, to żadna dziewczyna nie chciała mnie, nawet ta pryszczata o krzywych nogach. Nigdy nie dotknąłem dziewczyny, nie licząc przypadku, gdy w przepełnionym autobusie przytuliła się do mnie jedna. Była to bardzo chuda dziewczyna, tak chuda, że wyczuwałem kości jej miednicy, ale i tak było mi przyjemnie.

Siedziałem więc przeważnie pijany na ławce przy ulicy Sielankowej i ciągle wybierałem dziewczyny i ciągle lalusie w zamszowych kurtkach zabierali mi je.

Nie mam przyjaciół poza starym człowiekiem, który mnie gruntownie rozpił i nauczył jeść szklanki. Gdy mężczyźni piją na wysypisku śmieci, ten stary człowiek czatuje w pobliskich krzakach. Czasami w porzuconej butelce zostało kilka kropel alkoholu. Stary człowiek sączył je starannie na dłoń i oblizywał językiem. Z takim jak ja nikt nie chce nawet pić. Raz piłem z chłopakami zza dworca. Niby równe chłopaki. Mają za sobą liczne odsiadki, biją żony, a do matek mówią — „Ty Józka, daj na kirę". Otóż te chłopaki zza dworca spili mnie wówczas, zabrali pięćset złotych i futrzaną czapkę. Muszę przyznać obiektywnie, że w zamian dali mi w zęby. Splunąłem krwią i pomyślałem — „Za co, przecież im stawiałem?".

Piję więc ze starym człowiekiem, który mi nie da w zęby, bo już całkiem słaby i zmarnowany alkoholem. Czapki też nie zabierze, bo chłopaki zza dworca już zabrali, a drugiej chyba nie będę miał do końca życia. Tę czapkę wygrałem w pokera, grając na jedną rękę z pierwszorzędnym szulerem. Tego szulera już nie ma, bo zabił się jesienią na motorze. Więc na pewno nie będę miał już drugiej czapki.

Kiedyś miałem przyjaciela — kundla, co się zwał Bażoł. Przyjaźń z nim zawarłem przed jatką mięsną. Kupiłem wtedy 20 dkg czarnego salcesonu. Bażoł wygramolił się właśnie ze śmietnika i przykuśtykał do mnie. Był chudy i brudny, tylko oczy miał bardzo mądre. Kundel spojrzał na mnie i zaskowytał cicho. Zrozumiałem. Przeliczyłem plasterki czarnego salcesonu. Było ich osiem. Odliczyłem cztery i poczęstowałem psa. Po wyrazie jego oczu poznałem, że znalazłem przyjaciela.

Nikt nigdy nie chciał mnie wysłuchać. Mówiłem do siebie, choć to nienormalny objaw. Ilekroć chciałem wypowiedzieć swoją tęsknotę za lasami pachnącymi poziomkami, za dziewczyną, którą najbardziej kocham w moich nieporadnych wierszach, tylekroć pijana głowa starego człowieka kiwała się i opadała na stół. Teraz miałem przyjaciela, który zawsze mnie chętnie słuchał.

Chodziliśmy za rzękę i długo siedzieliśmy ukryci wśród liści łopuchu, piołunu i pokrzyw. Opowiedziałem mu historię, którą usłyszałem od pewnej baby. Krewny owej baby był robotnikiem w fabryce maszyn. Kochał z wzajemnością dziewczynę. Mieli się pobrać, choć rodzina jej była przeciwna temu, bo chłopak był biedny. Matka jej mówiła — „Wolałabym widzieć was w trumnie". W przeddzień ślubu pas transmisyjny zabił niedoszłego pana młodego. Widocznie matka była czarownicą. Dziewczyna strasznie rozpaczała i uderzyła w twarz matkę, choć za to może ręka nawet uschnąć. Postanowiła wziąć ślub z martwym chłopakiem.

W dzień ślubu, a był to dzień deszczowy, do kościoła zbiegli się ludzie. Wielu chętnych nie mogło się dostać do środka i mokło na deszczu. Nieśli go przed ołtarz w otwartej trumnie, ubranego w czarny, ślubny garnitur. Głowę miał przewiązaną chustką, bo pas rozbił mu czaszkę. Prawa ręka zwisała bezwładnie z trumny. Panna młoda szła obok w białej sukni. Twarzy baba nie widziała, bo zakrywał ją welon. Stanęli przed ołtarzem. Dziewczyna odważnie wzięła w swą dłoń ową bezwładnie zwisającą z trumny rękę. Ksiądz związał je stułą i powiedział — „Co Bóg złączył, człowiek niech nie waży się rozłączyć" lub coś w tym rodzaju. Zapijaczony organista fałszował tak przejmująco, że wielu miało łzy w oczach. Potem chłopaka jak każdego nieboszczyka zakopano do ziemi. Dziewczyna także chciała wskoczyć do dołu, ale w ostatniej chwili rozmyśliła się.

Sadziła na grobie męża piękne krwiste gerbery, takich gerberów nie miał żaden nieboszczyk na tym cmentarzu.

Była mu wierna prawie dwa lata, bo potem zaczęła żyć z pewnym bogatym wdowcem. Grób męża porósł zielskiem. Nie było już na nim krwistych gerberów. Żółciły się tylko ślepe babki. Nie wiem, czy to prawda, może baba łgała.

Dobrym przyjacielem był Bażoł. Warczał na starego człowieka, ilekroć ten wyzwał mnie od znajduchów. Stary człowiek był słaby i zmarnowany alkoholem, więc bał się nawet kundla. Pewnego dnia wyrwałem mego przyjaciela z łap hycla. Gdy nadbiegłem, hycel wlókł go już do budy. Uderzyłem hycla mocno kantem dłoni w kark, tak jak uczył mnie tego pewien łobuz, który miał już kilka odsiadek za bójki, ale on nie upadł i wiedziałem, że to będzie nieprosta sprawa. Hycel walnął mnie pięścią wielką jak bochen chleba w ucho, a potem w szczękę, aż się zatoczyłem. Wtedy ja nie mając wyboru rąbnąłem go głową pod brodę i poprawiłem lewą w nos. Gdy wreszcie hycel upadł, porwałem kundla i uciekliśmy za rzekę i ukryli się wśród łopuchu, piołunu i pokrzyw. Bażoł lasił się i lizał moje ręce, choć były bardzo brudne.

...Nie mam już przyjaciela, kundla, co się zwał Bażoł. W upalny dzień przejechał go ciężarówką naładowaną cegłami ryży szofer. Pies leżał przy krawężniku i łaziły po nim muchy. Nie mogłem po prostu pogodzić się z tym, że to prawda, i rozpłakałem się.

Życie na gorąco

Fotogramy Janusza Mendychowskiego

Z literatury faktu

Próby wejścia w kraj

Romuald Karaś

„DOWIEDZIEĆ się!" — oto dewiza naszych dni. Niekoniecznie musi ona dotyczyć spraw o znaczeniu światowym. Często bardziej interesująca, gdyż leży w naszym bezpośrednim zasięgu, jest wiedza o własnym kraju, czy też jego regionach. Wreszcie — wielkim, ciągle na nowo odkrywanym i wciąż drążonym tematem, jest sam człowiek, w bogatych uwarunkowaniach społecznego rozwoju. W jakim stopniu ukazujące się pozycje z literatury faktu spełniają postulat rzetelnej informacji o naszym polskim życiu? Oto próba, z konieczności wycinkowa, odpowiedzi na postawione pytanie.

Ożenek miedzi z historią

Brrr... Temat produkcyjny. Temat zdyskredytowany, wyszydzony i opluty. Kto dziś ma odwagę go podjąć?

Trzecią część doby człowiek dorosły spędza w pracy, nie mówiąc już o tym, jak bardzo rzutuje ona na pozostałe jego czynności.

Mówimy, że praca bywa treścią życia. Jest to oczywista prawda. Czemu więc przypisać, że książki, które w naszej literaturze były jej poświęcone, zyskały sobie tak pogardliwą opinię, jaką stał się epitet „produkcyjniaki"? Nie tłumaczą tego dostatecznie braki artystyczne książek, powstałych w okresie tzw. socrealizmu. W moim osobistym przekonaniu nie były one aż tak wielkie, aby zupełnie pogrzebać niewątpliwie ambitną próbę drążenia tematu pracy, czy jak kto woli — tematu produkcyjnego. Wydaje się, że z zimną kąpielą — częstokroć też potrzebną — wylano jednak dziecię. Może dlatego nurt ten nie zrodził u nas dzieł o dużym rezonansie czytelniczym. Faktem jest, że praca stała się rewirem niechętnie nawiedzanym przez literaturę. Nie możemy pochlubić choćby tej rangi powieściami, jak „Cement" Gładkowa.

W dużej mierze wierny tematowi pracy pozostał jednak reportaż. Ale i tu czołowi jego przedstawiciele odeszli ku regionom bardziej atrakcyjnym, jak choćby romans historyczny. Co kilka lat pojawiają się jednak książki, poświęcone wielorako rozumianym sprawom produkcyjnym. Wbrew wszystkim niechęciom ten i ów z reporterów podejmuje próbę rehabilitacji tematu. Przykładem tego jest w ostatnim okresie książka Janusza Roszki „Miedziany kraj".

Znany krakowski reporter obrał dość osobliwą metodę pisarską. Otóż dokonał ożenku miedzi z historią. Mariaż Ziemi Legnickiej z kruszcem, dobywanym dziś głównie w zagłębiu lubińskim, przyniósł jednak potomstwo. Pytanie: co się urodziło?

Bez wiekszego przekonania brnąłem przez pierwsze stronice. Łączenie kropli miedzi z Henrykiem Pobożnym czy II Armią Wojska Polskiego wydało mi się dość sztuczne. Ciągłe nawroty do odległych zdarzeń historycznych stały się denerwujące: kiedy u licha dowiemy się wreszcie coś o tej miedzi, wielkim naszym narodowym bogactwie? Imponująca pracowitość w zebraniu faktów o śląskich Piastach jednakże zawodziła. Gdzieś zagubił się błyskotliwy Roszko, przegadał anegdoty, zapomniał o pointach, wdał się w komentarze, w szczegóły i szczególiki. Kilkoma rzutami, świetnie rysowane przez Roszkę postaci, zastąpiły niewiele mówiącą charakterystyki ludzi w rodzaju *legniczanin zapalony i zaprzysięgły*. W czym się to uwidacznia? — tego się już nie dowiadujemy, a szkoda. Kiedy reporter stwierdza, że nigdy w Polsce nikt nie prowadził tak trudnych prac górniczych, zmuszeni jesteśmy wierzyć mu na słowo, choć wolelibyśmy mieć obraz tego trudu. To nie jest tylko sprawą górników, *ich rzecz* — jak zaznacza autor. Wybrzydzając się w ten sposób nad książką spostrzegłem nagle: czytam ostatnie stronice. Więc w końcu — zła czy dobra? Jak ocenić wypada związek w który wstąpił Mister Cuprum z historią?

A jednak mimo tych braków jest to jedna z lepszych książek reportażowych, podejmujących temat produkcyjny. Temat ważny, lecz najeżony tyloma niebezpieczeństwami, że pogrzebał już niejednego z piszących. W liczbach, tonach, urobkach rud i węgla, w fachowych nazwach, w dziesiątkach nazwisk inżynierów i robotników utonął temat. Książki, choć częstokroć imponujące włożonym nakładem pracy, były — co tu wiele mówić — drętwe. Przynosiły klęskę autorom — nie mogły liczyć na czytelniczy sukces. Książka Roszki ma nad nimi tę jednak przewagę, że się daje czytać, że potrafi zainteresować. A to już wiele...

W czym tkwią te mocne strony „Miedzianego kraju"? Mimo wszystko w języku Roszki, w swobodnej — mimo pewnych potknięć — wartko toczącej się gawędzie, nawiązującej jakby do staropolskiej prozy pamiętnikarskiej. Mocną stroną autora jest umiejętne operowanie konkretem historycznym, wydobywanie staroci, które pod piórem autora nabierają jasnego blasku, bywają ładnie spointowane, często odniesieniem do współczesności, aktualizacją. Najciekawszym reportażem z „miedziowych reportaży" jest... „Henryk II Sienkiewicz" — fascynująca opowieść o testamencie Alfreda Olszewskiego, zgermanizowanego Polaka, który dzięki lekturom książek Sienkiewicza przeżywa głęboki przełom, wyrzekając się wszystkiego, co pruskie i optując za Polską. Już choćby dla tego wątku — stał się on także tematem jednego z reportaży Krystyny Kolińskiej w książce „Tajemnice na sprzedaż" („Iskry") — warto sięgnąć po „Miedziany kraj".

Ślązacy

Od zagłębia miedziowego do Opola Śląskiego odległość niewielka. Warto więc przy okazji zwiedzić ten region korzystając z rzetelnego przewodnika, jakim jest Jerzy Opolski. Jego książka „Ślązacy", to pracowicie zebrany ogrom materiału o tej tak wartościowej, a tak wciąż mało znanej społeczności. Kto bliżej poznał opolskie strony, zetknął się z niezwykłą pracowitością rolników prowadzących gospodarkę wysokotowarową, rekordzistów w osiąganiu urodzaju, szczególnie upraw zbożowych, kto obserwował dzielność i wielką zaradność kobiet i dziewcząt, ten zrozumie, iż ukształtował się tu model życia społecznego nader potrzebny do naśladowania w innych regionach kraju. Czynnikiem scalającym i kształtującym społeczność Ślązaków opolskich była polskość i pracowitość. Wystarczy przypomnieć, że przed wojną na miejscowych wystawach i konkursach rolniczych gros nagród mimo zaciętej kampanii antypolskiej zmuszeni byli jednak organizatorzy przyznawać polskim rolnikom.

Miałem okazję nieco bliżej poznać Opolskie. Coś, co mnie szczególnie zaskoczyło, to były domowe biblioteki. Prawie każdy dobry gospodarz miał bogaty księgozbiór. Jeśli wertowałem te książki, to po roku wydania mogłem się zorientować, iż ci dobrzy gospodarze byli także dobrymi Polakami. Gromadzili książki polskie w czasach, kiedy na tych ziemiach nasilał się brunatny terror. Przechowywali stare druki dziedziczone z pokolenia w pokolenie. Czym dla tych ziem była książka polska najbardziej przekonały mnie spotkania z Rafałem Urbanem z Głogówka, sadownikiem znakomitym, a zarazem kronikarzem i pisarzem tych ziem równie wysokiej klasy. Jego polszczyzna — zarówno mówiona i pisana, to wielkie świadectwo historycznego spadku po kulturze językowej polskiego społeczeństwa, które mimo dziejowych klęsk i germanizacyjnego zalewu przetrwało wszystkie dramaty.

Jerzy Opolski zauważył w jednym z reportaży, że *historii Śląska trzeba się ciągle jeszcze uczyć z ludzkich biografii*. Stwierdzenie to oczywiste, gdyż podręczniki dają suchą i zbyt schematyczną wiedzę, a tymczasem życie ludzi tych terenów było, jak mało gdzie, wyjątkowo dramatyczne. Książka „Ślązacy" jest szeroką panoramą dziejów polskich wpisaną w życiorysy mieszkańców Opolszczyzny, tych, co to byli minderwärtig czyli mniej wartościowi, podlejsi. Czas po wyzwoleniu nie wprowadził na tę nadodrzańską ziemię idyllicznych stosunków. Życie zaowocowało tu konfliktami, których treść czasem polegała na tym, iż tych, co o Polskę walczyli i polskość ratowali, potraktowano nie tak jak na to sobie zasłużyli. I to były te powojenne dramaty. Później przyszła akcja łączenia rodzin — i znów narodziny nowych, bolesnych spraw, którym świadectwo daje książka Opolskiego.

Bogactwo faktograficzne „Ślązaków" jest tak wielkie, że można nim byłoby z powodzeniem obdzielić z tuzin książek reportażowych i co najmniej drugie tyle powieści. Reporter z zewnątrz, szukający tematu, nie byłby w stanie zgromadzić nawet części tego materiału. Mógł to tylko zrobić dziennikarz miejscowy, na co dzień znający życie tej części Polski. Oby więcej na półkach księgarskich znajdowało się tak rzetelnie opracowanych książek, dających dużą sumę wiedzy, pisanych w sposób odpowiedzialny i ze zrozumieniem głębokim ważnego społecznie i politycznie tematu. A przy tym bez lakieru i bez retuszy.

Nadmiar i niedostatek

Jest jednak pewien niedostatek książki Jerzego Opolskiego. Rysuje się on szczególnie wyraziście, jeśli kolejną lekturą będzie Ryszarda Rowińskiego „Południk 15". „Ślązakom", przy ich oczywistych zaletach, brak komponenty artystycznej, która czyniłaby tekst nośnym, o walorach większych niż kryje w sobie publicystyka.

Rowiński, reporter zielonogórskiego „Nadodrza", przypomina trochę średniowiecznego rzemieślnika. Przede wszystkim pracowitością i precyzją obróbki materiału. Jest jakby snycerzem, swoje ambicje kierującym na podkreślenie charakterystycznych szczegółów i wyrazisty rysunek. Jak w rzemiośle z dobrymi tradycjami bywa, powstają niejednokrotnie misterne cacuszka. I takie walory właśnie mają reportaże — nie wszystkie, niestety — zawarte w zbiorze „Południk 15".

Oto reportaż powstający na wzór mozaiki — autor z napisów na więziennych murach stara się odtworzyć losy wtrąconych tutaj ofiar hitlerowskiego terroru. Albo inna, wprost nie do wiary historia, kiedy urzędnicy kreują człowieka, są twórcami jego imienia, nazwiska, dat urodzenia, a potem dorabiają mu biografię. I z tym ten człowiek żyje w miasteczku. Z kolei jeden z urzędników zamieszcza jego zdjęcie w „Przyjaciółce" informując, iż postać fotografowana to najprawdopodobniej ofiara wojny z powodu kontuzji cierpiąca na zanik pamięci. Zjeżdża do Lubska 39 osób, które dostrzegły w nim cechy podobne do ich bliskich, zaginionych w ostatnią wojnę. Trwa ceremoniał dopasowywania szczegółów. Niestety, nie zgadzają się. Kiedy heca ucicha przyjeżdża ktoś z Białostockiego i mówi, że to jego brat Józef. Stają obok siebie o metr. Przyglądają się. Są podobni. Rzucają się w objęcia. Płaczą z radości.

Są jednak reportaże mniej udane. Forma góruje w nich nad słabiuteńkim wątkiem treściowym. Powstały jakby dla przyjemności operowania słowem. Reprezentatywnym przykładem staje się „Mysz w labiryncie". Czy pisząc o człowieku, który miał policyjne grzechy na sumieniu, za co odcierpiał w więzieniu, Rowiński musi się drapować w togę prokuratora i jeszcze raz oskarżać? Nawet surowe prawo zna zasadę, że za popełnione przestępstwo każe się tylko raz!

Na wiejską nutę

Tematykę regionalną podjął Walenty Kunysz, chłopski poeta i folklorysta, wydając „Wesele kraczkowskie". Jak pisze w starannym wstępie doc. Michał Łesiów, *jest to chyba największy i równocześnie bardzo autentyczny zbiór opisów i pieśni z wesela odbywającego się na polskiej wsi*. Pieśni mamy blisko trzysta. Wiele świetnych w artystycznym kształcie, a także rzucających spory snop światła na galicyjską wieś. Przytacza je pan Walenty w ich fonetycznym brzmieniu, co podnosi rangę zbiorku. Daje też dość szeroki komentarz do scenariusza „Wesela kraczkowskiego". A pisze tak, że zalet jego stylu można tylko zazdrościć. Oto próbka:

Nie było dawniej w zwyczaju i w modzie zalecać się do dziewczyny latami, chodzić i zawracać jej głowę. Nie było wolno żenić się w bardzo młodym wieku, ani spotykać tu i ówdzie z dziewczyną i wystawać długo z wieczora lub odprowadzać ją do domu z wesela, z zabawy, a nawet z kościoła. Nie wyjeżdżano na wczasy, wycieczki, nawet gdy na odpust szły kompanie, to chłopcy musieli stronić od dziewcząt. Spotykanie młodych uważane było za grzech śmiertelny, niedopuszczalny. Dopiero kiedy kawaler ukończył 24 lata, mógł się żenić.

Bywać musiało i inaczej, skoro w pieśniach, które pan Kunysz zgromadził, takie oto kwiatki dość często widać:

Ej, nie żeniółby ja sie, żebym ja nie musioł.
O, alem se Kasience wioneczek poruszoł.

„Wesele kraczkowskie" nawiązuje jak by do „Dzieł" Oskara Kolberga. Stanowi jego współczesną kontynuację, oczywiście, że w odniesieniu do wsi rzeszowskiej, a nie całego kraju. Różni się jednak tym, że sam przedstawiciel wsi widzi potrzebę utrwalenia w druku jej kulturowego dorobku wyrażającego się w pieśni.

Reportaż na scenie

Czy świadczy to o słabościach współczesnej dramaturgii, czy też o nowych możliwościach gatunku — fakt, że coraz częściej reportaże trafiają na scenę. Są nawet reżyserzy, jak np. Ryszard Smorzewski w Krakowie, specjalizujący się w wystawianiu tego rodzaju sztuk. Chętnie posługuje się nim także teatr jednego aktora. Właśnie ostatnio oglądałem taki spektakl. Jak do niego doszło?

Dwa lata temu znany reporter radiowy i jeden z twórców kabaretu w „Jamie Michalikowej" — Jacek Stwora wydał książkę reportażową pt. „Co jest za tym murem?" Była to historia z życia więźnia odsiadującego już nie po raz pierwszy wyrok w centralnym więzieniu. Historia spisana nie dla sensacji, czy rozwiązywania kryminalnych zagadek, w które niewątpliwie obfitowało życie bohatera z celi. Stworze chodziło o coś zgoła odmiennego. Ranga jego reportaży wykluczała tego typu rozwiązania. Dał po prostu portret człowieka przegranego, ukazał motywy działania, którymi kieruje się jako złodziej, włamywacz, oszust. O swoim życiu opowiada w książce sam Celebrak, a niekiedy wiedzę o nim i wydarzeniach z nim związanych poszerza głos jego żony. Coś, co wyróżnia książkę, to jej język wierny autentykowi, chyba najbardziej mówiący o wiedzy, morale, odruchach opowiadającego więźnia. Recenzując książkę w „Życiu Literackim" Stanisław Stanuch zauważył: *Metoda pisarska zademonstrowana w utworach Jacka Stwory przywołuje myśl Gustawa Flauberta, że artysta winien się ukryć całkowicie za formą, za stylem. Stworze obce jest beztroskie gadulstwo, które zrodziło powieści-eseje, powieści o pisaniu powieści, a nawet — pożal się Boże — powieści z kluczem.*

Adaptacji książki „Co jest za tym murem?" dokonał Ryszard Filipski. On też zagrał rolę Zdzisława Celebraka, a głosu do nagrania rozmowy psychiatry z więźniem użyczył Marek Walczewski. Tak powstał monodram o czterdziestominutowym czasie trwania.

Ryszarda Filipskiego przedstawiać nie trzeba. Szerokiej publiczności telewizyjnej dał się poznać znakomicie, występując w „Raporcie z Monachium" Andrzeja Brychta. Był to jeden z większych sukcesów teatru TV — spektakl musiano powtarzać na liczne prośby i żądania widzów. Warto jednak przypomnieć, że już przedtem ten młody aktor święcił sukcesy zdobywając II nagrodę na Trzecim Ogólnopolskim Przeglądzie Teatrów Małych Form w Szczecinie i także drugą nagrodę Na Trzecim Ogólnopolskim Przeglądzie Teatrów Jednego Aktora we Wrocławiu, czy też Specjalną Nagrodę Miasta Krakowa. Do tej kolekcji dołączył ostatnio I nagrodę na Czwartym Ogólnopolskim Przeglądzie Teatrów Małych Form w Szczecinie, gdzie wystąpił ze sztuką „Co jest za tym murem?" Jacka Stwory.

Spektakl oglądałem w piwnicy „Pod baranami" w Krakowie. Organizatorem było tamtejsze Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Imprez Artystycznych, co wymieniam gwoli zachęty zorganizowania w Lublinie występów artysty. Zachęcam tym usilniej, iż było to przedstawienie doskonałe. Uważam nawet, iż lepsze niż „Raport z Monachium". Zupełnie zapomniałem, że na scenie stał aktor, że grał wyuczony tekst reportażu. Robił to tak sugestywnie, iż wydawało się, że mamy do czynienia z więźniem, który dzieli się z nami pozornie jednak tylko barwnym, niezwykłym, lecz w istocie smutnym i przegranym swoim życiem.

Ktoś może zaoponować przeciw mojej propozycji tłumacząc, że to sztuka podejmująca temat nie typowy, raczej z peryferii społecznych. Odpowiem słowami Jacka Stwory:

Mówią mi, że nazbyt interesuje mnie margines, ludzie z marginesu. Co to jest margines? Każdy ma swoje własne, niepowtarzalne życie. Niczyje życie nie jest żadnym marginesem".

Janusz Roszko: „Miedziany kraj". Czytelnik 1968.

Jedzy Opolski: „Ślązacy", Książka i Wiedza 1968.

Ryszard Rowiński: „Południk 15", Wydawnictwo Poznańskie 1968.

Walenty Kunysz: „Wesele kraczkowskie", wstęp i oprac. Michał Łesiów, Wydawnictwo Lubelskie 1968.

Jacek Stwora: „Co jest za tym murem?", Wyd. Literackie, Kraków 1967.

Jacek Stwora: „Co jest za tym murem?" Adaptacja i realizacja Ryszard Filipski. Osoby: Zdzisław Celebrak — Ryszard Filipski. Psychiatra — Marek Walczewski. Spektakl zorganizowany w kwietniu br. staraniem Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Imprez Estradowych w Krakowie.

okolice sztuki

Między prawdą a urodą

MOŻE to dziwne, ale przecież prawdą jest, że w polskiej plastyce dzisiejszej najwcześniejsze i najbardziej przekonywające próby bezpośredniego dialogu z rzeczywistością humanistyczną związane są z grafiką. Figuralna narracja „filmowa" Wejmana, ekspresyjne i okrutne „pejzaże splątane" Gaja, fascynujące zbitki obrazowe Mianowskiego, anonimowe zbiorowości „Podróżnych" Pietscha wyprzedziły pokrewne ideowo poczynania malarzy. Przyzwyczajeni przez historię sztuki do drugoplanowej pozycji grafiki, którą zazwyczaj inspirowało i dynamizowało malarstwo, skłonni jesteśmy rzecz całą traktować jako swoisty i krótkotrwały fenomen. Warto jednak spojrzeć wówczas na pewne szczególne cechy grafiki i wizualnych form kultury masowej.

Zarówno w filmie, plakacie, magazynie ilustrowanym, fotografii, jak i w grafice nie istnieje — w sensie materialnym — pojęcie oryginalności dzieła, jego niepowtarzalności. Ta wspólnota świadczy o nowej aktualności grafiki jako powielanego środka masowej transmisji poglądów artysty, jego odczuć i obserwacji. Poza tym sam proces produkowania „negatywu" i odbitek graficznych jest szybki (nowe techniki stosowane za granicą), a cecha ta pozwala konkurować tej dziedzinie sztuki z wizualnymi formami masowego przekazu, gwarantuje możliwość natychmiastowej niemal reakcji artystycznej na różnorakie wydarzenia, zjawiska, fakty. A szybkość i szeroki zasięg to podstawowe — szczególnie dziś — elementy skutecznego działania.

Trafnie już zauważono, że nad współczesną grafiką polską — poza znakomitymi wyjątkami — ciąży jednak pewna, z tradycji wypływająca, fascynacja, która swego czasu owocna artystycznie, dziś posiada wszelkie cechy infantylnej nieco scholastyki. Chodzi więc o urzeczenie ogółu grafików warsztatem i to tym klasycznym, opartym na tzw. technikach szlachetnych. Wszelkie odstępstwa od obowiązujących tam reguł i rzadkie próby penetracji rejonów pogranicznych, opinia środowiskowa przyjmuje jako nieporadności, tanie ułatwienia.

To rygorystyczne przestrzeganie autonomii kilku podstawowych technik prowadzi ostatecznie do estetyzmu. Tylko najwybitniejsi twórcy omijają jego mielizny, formułując i stosując poetyki profilowane przez rytm i charakter współczesnej, szybko zmieniającej się rzeczywistości.

Grafikom lubelskim daleko jednak od owego urzeczenia, co nie jest tyle ich zasługą, ale wynikiem skromnych możliwości technicznych, jakimi dysponuje środowisko, do niedawna pozbawione nawet prasy litograficznej. Kto wie, może to niezawinione ograniczenie warsztatowe jest jednym ze źródeł świeżych artystycznie i licznych ostatnio w Lublinie zjawisk w dziedzinie grafiki?

Mamy tu do czynienia, przede wszystkim w twórczości artystów najbardziej aktywnych, z obrazowaniem zwięzłym formalnie, w którym rolę przekaźnika wielowątkowych treści pełni wyodrębniony znak geometryczny, lub równie powściągliwie zarysowana forma biologiczna. W tej charakterystyce mieści się np. dorobek Henryka Szulca, jednego z animatorów środowiska. Graficznym echem ikonografii współczesnej cywilizacji technicznej są metaforycznie potraktowane prace Zofii Kopel-Szulc, wprowadzającej w plansze kopie fotografii reklamowych, których motywy dość nieoczekiwanie ujawniają swoją drapieżność wyrazową. I w tym wypadku stwierdzić można świadome ograniczenie środków warsztatowo-formalnych, właściwe także dla niektórych linorytów Anny Jelonek. Jej „Matka żołnierza — listy" to interesujący przykład powiązania w narracji obrazowej strzępów tekstu, postaci ludzkiej i efektów treściowych kompozycji czarnych płaszczyzn, rozciętych smugami bieli.

Odmienny typ podejścia warsztatowego reprezentuje Zbigniew Podciechowski. W piórkowym cyklu „Dr Blaiberg" puszystość faktury, owych czarnych gąszczy nawarstwiających się i krzyżujących kresek, oślepianych nagle jasnym punktem czy ostrą i wężowatą linią, nie jest celem samym dla siebie. Podciechowskiemu nie chodzi ostatecznie o udowodnienie warsztatowej wirtuozerii, z której coś tam jeszcze może wynikać — w zależności od indywidualnej recepcji. Ta złożona struktura z wyłaniającym się zarysem czegoś znajomego, lecz do końca nie pozwalającego na jednoznaczne określenie przedmiotowe, jest okrutna w wyrazie. Kierując podpisem uwagę na ogólnie znane wydarzenia medyczne, w opracowaniu graficznym Podciechowski przekracza sensacyjną doraźność faktu i osiąga coś, co można określić jako gorzką refleksję nad ludzką kondycją.

Jan Popek, niedawno jeszcze student warszawskiej ASP, krzyżuje w swoich akwafortach i suchorytach surrealistyczną swobodę wyobraźni z pop-artowskim, drwiącym nieco, zainteresowaniem codziennymi przedmiotami. Osobiste wnioski z nadrealizmu wyciąga w swych pracach Piotr Bednarski, aczkolwiek ostatnie jego realizacje świadczą o zmianie orientacji.

Ramy publikacji nie pozwalają na szerszą egzemplifikację zarysowanych tendencji, na pobieżną choćby charakterystykę twórczości innych grafików lubelskich i tych malarzy, którzy od czasu do czasu poświęcają nieco uwagi tej dyscyplinie. Wspominając o zjawiskach przewodnich, po szczegółową wiedzę o dorobku pozostałych artystów odsyłam do dość częstych ostatnio w Lublinie wystaw grafiki.

IJK

moje **LEKTURY**

Opowieść o Prusie

GABRIELA Pauszer-Klonowska, która obchodziła niedawno czterdziestolecie pracy pisarskiej, nie może uskarżać się na brak zainteresowania czytelników dla jej książek. Świadczą o tym wznowienia powieści biograficznej o Elizie Orzeszkowej, wyczerpanie książki „W cieniu nałęczowskich drzew" i „Trudnego życia", które ostatnio ukazało się w drugim, zmienionym i uzupełnionym wydaniu, w innym zresztą wydawnictwie. Zainteresowania autorki tych książek skupiają się przede wszystkim na sprawach życia i twórczości Orzeszkowej i Prusa, wykazują one wielką ciągłość i konsekwencję. Daje im Pauszer-Klonowska świadectwo w postaci szkiców literackich, jak i ujęć powieściowych — właśnie w „Trudnym życiu".

Tytuł to nie efektowny, ale chyba dla autorki programowy. Chciała ona uświadomić czytelnikowi dzisiejszemu, że autor „Lalki" żył

Gabriela Pauszer-Klonowska — fot Danuta B. Łomaczewska

i pracował w warunkach niezwykle trudnych, jakże odmiennych od tych, w jakich znajdował się Henryk Sienkiewicz czy pisarze o mniejszej skali talentu. Zaliczki, długi, wyczerpująca parobcza robota, jak Prus nazywał swoje dziennikarstwo, oto realia życia powieściopisarza. Należał on, jak sam kiedyś napisał, do nielicznej grupy polskich pisarzy, którzy do literatury dokładali jeszcze z własnej kieszeni. Wytężonej pracy dziennikarskiej i literackiej Prusa nie towarzyszył zbyt wielki rozgłos, jego arcydzieła krytyka ówczesna przyjmowała bardzo wstrzemięźliwie, nawet z grymasami. A co do hołdów, to tych nie było za wiele, a niektóre z nich sam pisarz skutecznie tłumił w zarodku.

Autorka „Trudnego życia" spełniła swoje pisarskie zamiary dosyć szczęśliwie. Chciała ona ukazać życie Prusa *pełne tragicznych spięć i zmagań ze sobą samym i ze społeczeństwem*. Uczyniła to autorka w powieściowej formie, ale *niemal wszystko* — jak czytamy — *w tej powieści jest autentyczne, oparte na dokumentach, listach, drukowanych i niedrukowanych wspomnieniach*. Przyznać trzeba, że pisanie powieściowej biografii Prusa nie należy do zadań łatwych. Może po przeczytaniu „Kalendarza życia i twórczości Prusa", który ostatnio ukazał się w opracowaniu K. Tokarzówny i S. Fity, byłoby ono prostsze. Autorka „Trudnego życia" sama musiała przekopać dosyć obszerne materiały i odtworzyć przebieg życia pisarza. Ale mimo to znajdowała się ona w niezbyt korzystnym położeniu, albowiem wbrew pozorom dokumentów, które odsłaniałyby wnętrze pisarza, brakuje, listy jego są bardzo lakoniczne, pozbawione wyznań, prywatne notesy pisarza nie są pamiętnikiem życia, ale zapisem przemyśleń nad człowiekiem i społeczeństwem oraz koncepcji twórczych.

W tej sytuacji autorka starała się trzymać źródeł dosyć wiernie. Niekiedy przytacza je w dosłownym brzmieniu, zwykle jednak parafrazuje je, układa z nich monologi, wkłada w usta różnych osób. Czytelnik z szerokiego kręgu, w tym także młodzieżowy, przyjmuje takie rozwiązania bardzo chętnie, wydaje się natomiast, że czytelnik dokładniej zaznajomiony z literaturą, dotyczącą Prusa, wolałby raczej książkę dokumentarną, bliższą wzoru „ludzi żywych", gdzie autentyk ulega nieznacznej tylko obróbce. Jest to jednak sprawa przyjętej metody pisarskiej i określenia adresata książki.

Miłośnicy twórczości Prusa, a tych nigdy nie brakuje, znajdą tu bardzo rzeczowe i zręczne przedstawienie przebiegu całego życia pisarza, jego spraw rodzinnych, zajęć dziennikarskich i pisarskich, a wszystko to w powiązaniu z ówczesnym otoczeniem Prusa i na tle miejsc, gdzie rozgrywało się jego życie, a więc przede wszystkim Warszawy i Nałęczowa. Najpełniej i z zachowaniem całej dramatyczności ukazała autorka dzieciństwo i młodość Prusa, epizod powstańczy i lata szkolno-studenckie, późniejsze fragmenty biografii pisarza ujęte są nieco powierzchownie, choćby strony poświęcone „Lalce". Zauważyć można przy tym skłonności autorki do statycznego widzenia portretu autora „Placówki" i uogólniania wypowiedzianych gdzieś opinii czy przedstawionych sytuacji. Tak samo niektóre przypisywane Prusowi wypowiedzi zbliżają się do podręcznikowych schematów, rażą zwłaszcza wówczas, kiedy wypowiada je Prus w rozmowach z najbliższymi. Posługiwał się on chyba bardziej ludzkim językiem.

Te niedostatki powieści można by określić po prostu jako ilustracyjność, która wynika z nadmiernej i tu może niepotrzebnej wierności, aby każda wypowiedź, fakt czy sytuacja, miały potwierdzenie w zachowanym materiale. A przecież prawda powieści oparta jest na innych zasadach niż prawda książki naukowej. Pod tym względem w „Trudnym życiu" nie ma całkowitej konsekwencji. W jednych miejscach jest za bardzo powieściowa, wykorzystuje elementy czysto fikcyjne, w innych — bez uzasadnienia przesuwa pewne fakty w czasie lub wykorzystuje je niezgodnie z brzmieniem źródeł. Tak na przykład uroczy wierszyk, pisany na „rybce" przez przyjaciół:

Nie mając Cię w naszym gronie,
Ściskamy Twe zacne dłonie,
I choć się schowałeś w kąt,
Życzymy Wesołych Świąt!

powstał w 1896 r. z okazji jubileuszu Prusa, zaś w „Trudnym Życiu" posłużył on do zbudowania całej sceny „rybki", ale zlokalizowanej w 1903 r. Miała ona zresztą miejsce w Wigilię a nie w Wielki Piątek. Podobnie wspomnienia Oktawii Żeromskiej, które odnosiły się do „Emancypantek", tutaj włączone zostały do spraw związanych z „Placówką". Są w powieści miejsca, które domagałyby się dopełnień. Choćby kupno przez Prusa maszyny do pisania. Oczywiście ten fakt sam w sobie jest ciekawy, ale o ileż staje się wymowniejszy, gdy uzupełni się go informacją, że pisarz nabył maszynę w czasie, kiedy groziła mu utrata wzroku. Do listy zastrzeżeń można by dopisać jeszcze uwagę o niekonsekwentnym przestrzeganiu pewnych realiów, na przykład niektóre nazwy ulic pojawiają się w brzmieniu dzisiejszym, a nie w zgodzie z ówczesnym stanem rzeczy.

Można by te zastrzeżenia jeszcze powiększać, ale łatwo zauważyć, iż dotyczą one raczej szczegółów i nie godzą w rzeczywiste wartości „Trudnego życia". Powieść bowiem przybliża postać pisarza, pozwala zrozumieć mechanizmy jego twórczości, orientuje w jej przebiegu, uświadamia czytelnikowi nadrzędne idee, jakim podporządkowywał Prus swoją działalność pisarską. Pożytek z lektury jest oczywisty, nie przekreślają go pewne uchybienia, nie podważają rzetelności autorki w podejściu do materiału historycznego i sposobu jego użytkowania. Zaś pewne świadomie uczynione luki w biografii Prusa wypełnia następna powieść — „W cieniu nałęczowskich drzew". Powieść, o której tu mowa, zamyka się na 1904 roku. Jest to data śmierci siostrzeńca i wychowanka Prusa, faktu, który stanowił na pewno głębokie przeżycie dla pisarza, ale nie tłumaczy się jako finał „Trudnego życia". Wystarcza on jednak autorce: resztę życia Prusa chciała związać z jego „ostatnią miłością", ze sprawą „Pameczka".

Tadeusz Kłak

Gabriela Pauszer-Klonowska: Trudne życie. Wyd. II. Lublin 1969. Wyd. Lubelskie.

Kadenowe karykatury

Dokończenie ze str. 5

wiek dźwięku: *Wargi Coeura i zmarszczki, spadające od nosa ku dołowi, rozszerzały się w przykrym uśmiechu, niejako bezszelestnie, niczym na gumach ukrytych rozciągnięte... Brązowa twarz cudzoziemca uśmiechała się osobliwie, bezszelestnym uśmiechem, jakby na ukrytych gumach mechanicznie rozciąganym.*

Ontologiczne uzasadnienie postaci Coeura można znaleźć jedynie w płaszczyźnie nadrealistycznej. Nie należy on od ludzi z Osady, jego tajemnicze pochodzenie wywołuje poczucie grozy, a śmierć w płonącym szybie nie jest tylko aktem zemsty skrzywdzonych górników, lecz wyjaśnieniem niesamowitego rodowodu. Koncepcja dwóch światów, z których jeden narzuca swoje prawa drugiemu w sposób bezwzględny i rozumowo nieuzasadniony, jest pomysłem narratora, należącego do naiwnych i zabobonnych mieszkańców Osady. Wśród niedoli życia codziennego nie ma miejsca na wierzenia w dobre, opiekuńcze duchy. W sprawy ludzkie ingeruje jedynie demon, jako ostateczny sprawca zła: głodu, chorób i bezrobocia.

Wszystkie omawiane zabiegi, służące deformacji portretu, realizują metodę kreślenia obrazu bohatera wyłącznie od zewnątrz poprzez gest, ruch i słowo. Jest to zapewne wyraz scenicznego traktowania postaci, czyli pewnej teatralizacji powieści.

Galeria postaci, pomyślanych w kategoriach karykaturalizmu, prezentuje pośrednio stosunek pisarza do rzeczywistości przedstawionej, jego całkowitą dezaprobatę dla ludzi, którzy mogą być jedynie marionetkami w politycznej szopce II Rzeczypospolitej. Analiza techniki kreowania postaci pozwala spojrzeć na autora „Czarnych skrzydeł" bez uwzględnienia tradycyjnej etykiety „dworskiego beletrysty panującej kliki". Bo mimo zaangażowania politycznego stać było Kadena na groteskową wizję Polski sanacyjnej.

Zenobia Kitówna

Krzyżówka nr 4

POZIOMO: 1. wybitny poeta lubelski okresu międzywojennego 6. miejsce spacerowe, 9. światłoszczelne pudełko, 10. pomoc, 12. Persja, 13. hełm, 14. stan w USA, 15. lampa uliczna, 18. barbakan, 19. zwierzę hodowlane w państwie Inków, 20. pseudonim powieściopisarza żyjącego w drugiej połowie XIX wieku, pochowanego na cmentarzu lubelskim, 21. dłużnik wekslowy, 23. jazda na okrągło, 25. żyje z jałmużny, 28. walc z przyśpiewkami, 30. płynie rurociągiem, 32. pancerz, 33. jeden z największych pisarzy polskich z przełomu XIX i XX wieku, 36. drzewo szpilkowe 37. państwo arabskie, 39. strój sportowy (wspak), 40. muszla, 41. odmiana koloru, 42. miewają zapalenie, 43. prawdziwe nazwisko 28 poziomo

PIONOWO: 1. weselne ziele, 2. tatarski władca, 3. opera Webera, 4. Włochy, 5. jugosłowiański „Fiat", 6. egzamin na stopień naukowy, 7. ogród, 8. oblicza koszty, 9. twardy papier, 11. gore w „Maratonie" Ujejskiego, 16. republika radziecka, 17. syn Dedala, 19. ułańska broń, 20. gryzoń afrykański z kolcami, 22. miejscowość letniskowa w dolinie Popradu, 24. na nich się kręcą, 26. robotnik transportu na Wołdze, 27 poeta-biskup, 29. pora roku, 31. gra w karty sam ze sobą, 33. czarna opaska na rękawie, 34. postać z „Lalki", 35. ptaki hodowlane, 38. dzielnica Warszawy, 39. podanie piłki do gry.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy nagrody w postaci bonów książkowych.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI z NR 14

POZIOMO: Klonowic, kolegium, ido, stelaż, ratusz, Etna, tama, Zambezi, tapeta, Antoni, Parys, nokturn, kombajn, Irena, kolizja, Lizbona, Krata, remiza, Asyria, Rzeszów, okap, Andy, siłacz, Serbia, kot, Nagasaki, Atalanta.

PIONOWO: Kamerton, nota, waliza, ciżemka, Kortezy, lutnia, gust, medalion, snopek, załoga, tłuszcz, Nemezis, pniak, rzepa, skala, oko, Jan, kormoran, lampas, obrona, aparycja, rzeczki, trzysta, armada, awaria, Piza, Aida.

Nagrody otrzymują: Krzysztof Sewastianowicz, Białystok, Kraszewskiego 1 m. 5, Danuta Górczyńska, Złotna, p-ta Łączno, pow. Morąg, woj. olsztyńskie, Stanisław Cylwik, Białystok, ul. Wierzbowa 61 m. 1, Maria Ćwikło, Kalwaria Zebrzydowska, Błażkówka 1, woj. krakowskie.

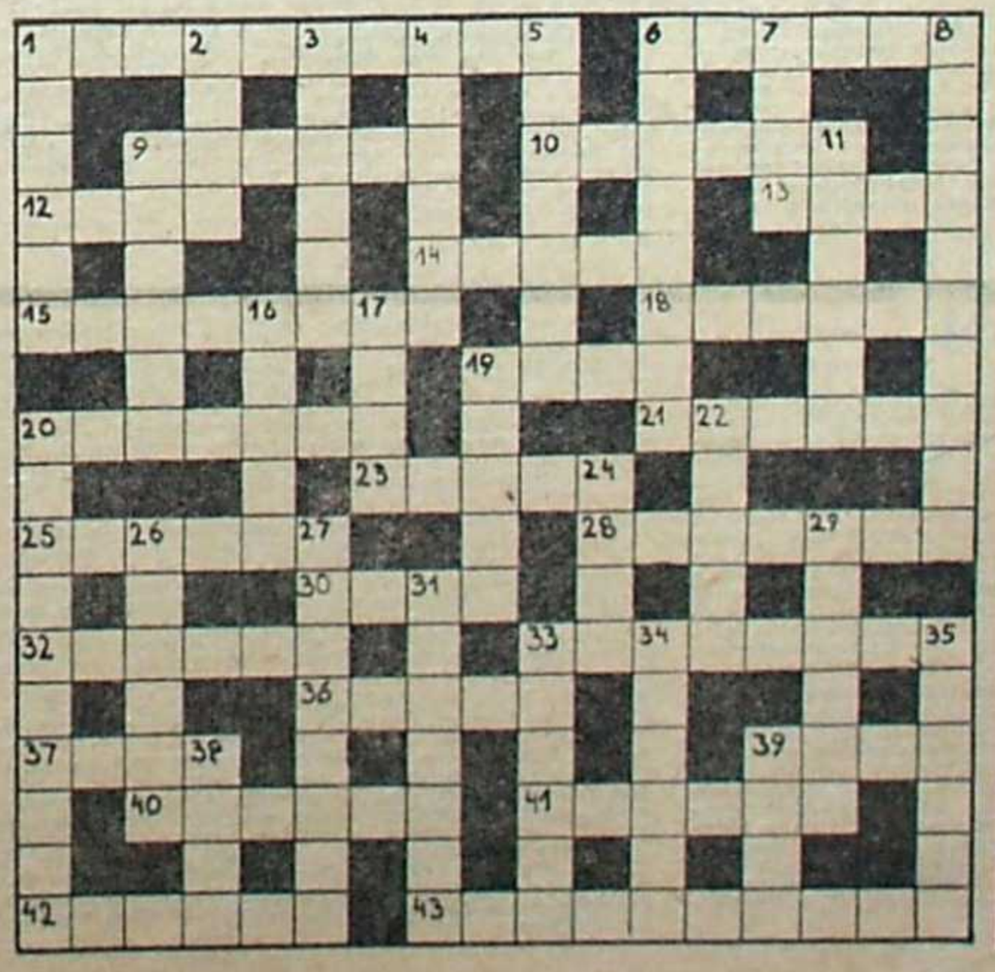

NAJLEPSZĄ FORMĄ TERMINOWEGO OTRZYMYWANIA „KAMENY" JEST PRENUMERATA

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Drodzy Czytelnicy i Korespondenci! Nasza rubryka staje się sławna. W gazetach o nas piszą. A ile listów otrzymaliśmy od ufających nam ludzi, a także od zgryźliwych przeciwników. W tej szerokiej dyskusji nie może zabraknąć głosu naszego stałego autora, Pana T. S. z Bielawy. Zahacza on i o samą „Kamenę". Tekst drukujemy w całości, aby nie zostać posądzonymi o tłumienie krytyki:

TA MIŁOŚĆ

Na innej brzytwy, na tej szlifierce
Jasio kochany szlifuje serce.
Szlifując serce, serce przyciska,
Rzadko odrywa usta od pyska.
I jest szlifierzem słowa jak Dante,
Wierszyk drukuje w Poste Restante.
Kochany Jasiu! jam twa rubryka,
Słońce nam grzeje, pachnie nam gryka.
Te jej łodygi — jak z czekolady,
Tu mamy książkę z sobą, ballady.
Tu woń miodowa, tu ruch owadzi.
Jasiu, mnie kochasz, Jasiu nie zdradzisz.
„Kamena" wdzięcznie uchyla dzioba,
Jej ta się miłość nasza podoba.
Umieszcza rapsod zawsze taktowny,
Dosyć uczciwie, w tonie obmownym.
Przynajmniej słowo zniekształca
w zdaniu
Ta bo „Kamena" to taki anioł.
Fragment wejdzie w druk, całość
raczej nie
Głęboki ukłon takiej „Kamenie".

Chyba tym razem Pan T. S. jest usatysfakcjonowany, gdyż „całość weszła w druk", i to bez niecnych z naszej strony korektur. Zamierzamy też usatysfakcjonować innego autora. Jest to, jak się orientujemy, osobnik o nieskazitelnie czystych mankietach, białych rączkach i sterylnie wzniosłym umyśle. Wypowiada się listownie na temat naszej rubryki, udając, że jej nie rozumie, choć faktycznie rozumie, ale tak udając, abyśmy wiedzieli, iż rozumie, choć udaje, że nie rozumie.

Uff! Aleśmy się natrudzili z rozszyfrowaniem i racjonalnym ogarnięciem tej wysoce intelektualnej postawy. Autor ów przesyła także zbiorek wierszy, które zamierzamy od czasu do czasu publikować, wychodząc z optymistycznego założenia, iż nie ma tego głupiego, co by w końcu na mądre nie wyszło. Inaugurujemy więc **Kącik M. Pigońskiego**, bo tak nazywa się rzeczony autor, a w każdym razie takowym nazwiskiem firmuje swe wierszyki. Dziś tekst następujący:

KUKU MONIU

A kuku ku Moni
kuku Moniu mu
kuku Moniu
muniu muniu na
a kuku Moniu
muniu muniu eci peci
poeci
kuku na muniu

Niech się człowiek cieszy, że nasza rubryka kupiła płody jego wyrafinowanej intelektualności. Jakikolwiek nie byłby stosunek autora do całej sprawy, to i tak stwarza on pewne przyczynki, że tak powiemy, kulturowe, nad którymi pochylamy się z niewątpliwą troskliwością.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: KONRAD BIELSKI, JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI (kierownik działu publicystyki) MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 35
Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-33, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecona i ekspresowa — pod adresem redakcji.

Zam. 2805. 13.VII.69. 6.940. F-4.

Triumf maszyny i klęska człowieka

PRZEZ tysiące, ba — dziesiątki tysięcy lat towarzyszy człowiekowi w jego smutkach i radościach, w zabobonach i postępie nauki, w nieszczęściach, strachu i romantycznej miłości. Z nieruchomą, zagadkową, wciąż taką samą twarzą patrzy na wojny i epidemie, groby i kołyski, na zgarbione plecy ludzi i ich twarze radośnie skierowane do góry, na prymitywne wozy konne i najwspanialsze limuzyny, na lepianki i drapacze chmur — słowem na to wszystko, co stworzył człowiek w ciągu istnienia na Ziemi.

A także na to wszystko, co istniało i istnieje obok człowieka, niezależnie od jego woli i działania.

To tylko romantycy twierdzili, że Księżyc czemuś się dziwi. Jako małe dzieci w jego tarczy lub półksiężycu dopatrywaliśmy się zarysów ludzkiej twarzy. Stąd zapewne wzięła się legenda o Twardowskim, który rzekomo zawisł gdzieś pomiędzy Ziemią a Księżycem. Potem pasjonowaliśmy się fantastycznymi powieściami o wyprawach na naszego wiernego satelitę, wreszcie kochaliśmy się w jego łagodnej poświacie, drżąc przy pierwszych pocałunkach i wyznaniach.

Wojna nauczyła nas jeszcze inaczej patrzeć na Księżyc. Gdy chował się za chmurami, był sprzymierzeńcem partyzantów. Gdy wychylił się na czyste niebo, chowaliśmy się w jakimś załomie, za krzakiem, w nurcie rzeki. Jakże często jego tryskająca pełnią twarz niknęła w płomieniach palących się domów, w ogniu napalmu, rozprysku kolorowych rakiet, paciorkach świetlnych pocisków, mknących w pogoni za obładowanym bombami samolotem...

Przyzwyczailiśmy się do jego towarzystwa, wścibstwa i milczenia.

I oto nagle wszystko przewraca się do góry nogami. Nagle — bo 8 lat od chwili pierwszego lotu kosmicznego Gagarina, który zapowiadał już podbój Księżyca — te 8 lat w historii ludzkości to zaledwie jakiś ułamek sekundy. Więc nagle stało się możliwe to, o czym śnili poeci i naukowcy, zakochani i inżynierowie. W chwili, gdy piszę te słowa, nie wiadomo jeszcze, czy pierwsi ludzie wylądują na Księżycu i czy wrócą na Ziemię. Ale prawdę powiedziawszy ten lot nie ma większego znaczenia. Jeżeli się nie uda, a wszyscy chcemy, by się udał, to uda się następny, albo jeszcze następny.

Triumf — ale czyj? Człowieka?

Sprawa wcale nie jest taka prosta jak pozornie wygląda.

Odkrycie Ameryki, zdobycie biegunów, odkopanie Pompei i piramid, przejście Sahary i Gobi — wszystko to było niezaprzeczalnym triumfem człowieka. Jego mięśni i umysłu, odwagi i bohaterstwa. Pewnie, że za każdym razem człowiek posługiwał się wynalezionymi przez siebie narzędziami czy bardziej skomplikowanymi urządzeniami. Ostatecznie jednak w chwilach największej próby decydował tylko i wyłącznie człowiek.

Inaczej jest z wyprawą na Księżyc. Tu decyduje już nie człowiek, ale przede wszystkim maszyna. Dokładniej — komputer, który postanawia do ostatniego ułamka sekundy, czy i kiedy ma nastąpić start rakiety, czy i jak poprawić trajektornię lotu, kiedy przyspieszyć a kiedy zahamować, w jakim oka mgnieniu przejść na orbitę wokółksiężycową, kiedy i w jakim miejscu osiąść na Srebrnym Globie, jak i kiedy wrócić.

Oczywiście — komputer też jest dziełem człowieka. Tyle, że okręt Kolumba, sanie Amundsena czy nawet balon Nobilego były posłuszne człowiekowi. Tu zaś człowiek jest, ba — musi być posłuszny maszynie, którą sam wymyślił. Musi, jeżeli chce wykonać swoje zadanie, jeżeli chce uniknąć śmierci, która będzie się nazywała po prostu samobójstwem.

I mimo wszystko warto się zastanowić ku czemu dążymy, jeżeli w największym dotychczas triumfie człowieka decydującą rolę odgrywa w najbardziej dramatycznej, decydującej chwili nie on sam, ale maszyna. Czy ta maszyna, wymyślona przez człowieka, ale i za niego decydująca, niedługo może i za niego myśląca — nie zagraża samemu bytowi człowieka? A przynajmniej tym jego formom, które ukształtowały się przez całe tysiąclecia?

Jerzy Dostatni

Rys. A. Stok

BIG-BEAT

Strona z gwoździem

PANIE Redaktorze! Byczę się w Kazimierzu, słoneczko pięknie przygrzewa, ptaki-pytaki za oknem trele-morele, klawo jest — jak mówi red. Derecki.

Wczoraj na rynku zjawili się hippiesi. Podobno mają tu zjazd krajowy! Kilkunastu zarośniętych nad umiar chłoptasiów rozsiadło się na chodnikach. Siedzą tak godzinę, dwie, wstąpią do baru mlecznego na kefir i znów wracają na dawne miejsce. Coś tam szepczą do siebie, brzdąkają na gitarach, podśpiewują. Nie, nie, wcale nie chuligania, ale ich cudaczne stroje wzbudziły pewien niepokój władzy, która z całą powagą poprosiła o bliższe przedstawienie się, czyli okazanie dokumentów osobistych. Wszystko musiało być w najlepszym porządku, jako że dzisiaj hippiesi nadal trwali na posterunku. Co szacowniejsi mieszkańcy Kazimierza tudzież przyjezdni goście omijali ich z daleka niczym osobników zarażonych dżumą czy innym tyfusem, dały się słyszeć głosy w rodzaju „ja bym ich posłał do hufców pracy", ale długowłosi nie dali się sprowokować do żadnych dyskusji. Jeden z nich miał na plecach wypisane czarno na białym: „Ja ciebie też nie lubię", co mi się wydało nawet dowcipne. I nie będę wcale wybrzydzał, nie będę stroił się w szatki starej ciotki, bo w Kazimierzu oni wcale a wcale nie rażą. Nie wiem tylko, gdzie chłopaczki sypiają i gdzie jadają. Tutejszy bar mleczny nie słynie z obfitych posiłków, a kaszka manna nawet w Kazimierzu z nieba nie spada. Wokół rynku rozsiadły się natomiast przekupki zachęcające do nabywania owoców. Nie ma żadnych kolejek, można nawet dostać truskawki (piszę te słowa 15 lipca), ale po 20 zł za kilogram. Cena nie jest zbyt zachęcająca, toteż na nadmiar amatorów nikt się nie uskarża.

A w ogóle to w tym roku obserwuje się wyraźny odpływ wczasowiczów. Owszem, gdy pogoda dopisze, rojno jest w sobotnie popołudnia i w niedziele, natomiast w inne dni — puchy. Na parkingu przeważają wozy z lubelską rejestracją. Kto ma samochód, może łatwo wpaść do Lublina i wywiedzieć się, co nowego w stolicy województwa, ale co ma robić turysta niezmotoryzowany?

Kupuję codziennie „Sztandar Ludu". Dziś z ostatniej strony dowiedziałem się, że Mieczysław Pankowski z Marysina został ukarany 1500 zł grzywny za to, że w stanie nietrzeźwym zakłócał spokój publiczny, a także, że dziwne zwyczaje panują w restauracji „Roztocze" w Zwierzyńcu, gdzie w godzinach rannych nie można otrzymać herbaty. Ucieszyła mnie wiadomość, że w Zofiance wmurowano akt erekcyjny pod budowę nowej szkoły, a zmartwiła, że żałosny widok przedstawia basen w Tomaszowie, w którym „utopiono" 180 tys. złotych. Szczerze współczułem Stanisławowi Pomarańskiemu z Zamościa, który kupił bułkę z gwoździem, a jeszcze bardziej Ludwikowi Badylakowi z Puław, który wpadł pod „Starą"...

Ale... Jurek, Kazik, Zosia, Irka, Leszek, Waldek etc., etc. i ja nie mieszkamy stale w Marysinie, Zwierzyńcu, Zofiance, Tomaszowie, Zamościu czy w Puławach, tylko w L u b l i n i e. Z dzisiejszego numeru „Sztandaru Ludu" dowiedziałem się tylko tego, że w Lublinie odbywają się kursy wakacyjne dla nauczycieli. I to wszystko. Dosłownie wszystko. Kropka.

Gdy spędzałem kiedyś wakacje nad Jeziorem Białym, była podobna historia. Wiedziałem dobrze z lektury „Sztandaru", co się dzieje we Włodawie, ale nie to, co w Lublinie. Wówczas dziwiłem się jednak nieco mniej — z uwagi na odległość.

Nie wiem, czy są jakieś obiektywne przyczyny ku temu, aby w miesiącach letnich miejskie (lubelskie) wydanie „Sztandaru Ludu" nie mogło docierać do Kazimierza i Nałęczowa, gdzie spędza urlop czy wakacje wielu lubliniaków? Jeśli przekracza to możliwości redakcji i lubelskiego oddziału „Ruchu", należałoby na mutacjach gazety chyba więcej uwagi poświęcać sprawom samego Lublina. Dla mnie przynajmniej jest to sprawa oczywista.

Redaktorzy ze „Sztandaru" znów powiedzą, że „Jacek się czepia". Poczytajcie sobie, drodzy, codziennie o braku herbaty w Zwierzyńcu, o basenie w Tomaszowie, o bułce z gwoździem w Zamościu...

Przyjemnej lektury!

Jacek

FELIETON Z REZERWY

Wychodzenie z zaścianka

MILIONY ludzi wpatrzone w szklany ekran. Transmisja interwizji. Duża rzecz, bomba. Zapewne pewien procent telewidzów nie był zadowolony z tych transmisji. Nie wszyscy interesują się muzyką, a z interesujących się — nie wszyscy rozrywkową.

Festiwal był dużą imprezą artystyczną, dla mieszkańców Opola miał jednakże chyba głównie znaczenie jako przedsięwzięcie o celach bardziej ogólnych. Oto ich miasto, niewielkie przecież, jedno z najmniejszych wojewódzkich w Polsce, stanęło na pewien czas w centrum zainteresowania opinii publicznej. Pojechać w tym okresie do Opola — to było coś, czym można było zaimponować nawet znajomym snobom.

Niejeden z festiwalowych gości został jeszcze na kilka dni po imprezie, niejeden zapewne przyjedzie w Opolskie na urlop. Mieszkańcy Opola, niezwykle mili i gościnni, byli wyraźnie ukontentowani tym zainteresowaniem ich miastem. Ta trwająca od lat i z roku na rok wzrastająca czerwcowa moda na Opole, pozbawia ich kompleksu zaściankowości. Prowincja? Cóż to za prowincja, do której pchają się ludzie znad morza, spod Tatr i znad Bugu? Festiwal zrobił znacznie więcej dla Opola niż niegdyś sukcesy tamtejszej „Odry" w I lidze piłki nożnej.

Podobne imprezy wszędzie mają podobne znaczenie dla higieny psychicznej społeczeństwa tego regionu, w którym się odbywają. Oto w lipcu niewielki przecież Rzeszów zafundował sobie światowy festiwal polonijnych zespołów pieśni i tańca. Macie państwo pojęcie? Światowy!!!

W Kołobrzegu znów zorganizowano festiwal piosenki żołnierskiej. Impreza ta lepiej reklamuje miasto, niż wszystkie jego walory klimatyczne. W Kazimierzu odbył się I ogólnopolski festiwal kapel ludowych, również pierwszorzędna historia, tyle, że słabo zareklamowana i za mało dostrzegana przez prasę, zarówno lubelską jak i krajową.

Jeśli chodzi o imprezy w województwie lubelskim, to jakoś tak się składa, że przechodzą prawie niedostrzegane. Jedynie festiwal powiatów robił szum na cały kraj. Natomiast zorganizowany uprzednio przez „Estradę" festiwal kabaretów, który ściągnął plejadę sławnych nazwisk, przeszedł jakoś cichaczem; nie było nawet pełnej frekwencji.

Oczywiście organizowanie festiwali nie jest jedynym lekarstwem na wyzwalanie ludzi z kompleksów prowincji, ani nawet nie zawsze właściwym. W Lublinie rokrocznie przeprowadzany jest festiwal filmów rolniczych, pokazują na nim wszystko co najlepsze w polskim filmie oświatowym, przeznaczonym dla wsi. Prasa dmie w wielkie trąby propagandowe, lecz mieszkańcy w widoczny sposób mają rzecz całą w nosie — gdyż się na niej zupełnie nie znają.

Istotnie imprezę wymyślono prawdopodobnie bez głębszego zastanowienia się, boć przecież rolników w mieście jest niewielu, a w dodatku prowadzą głównie gospodarkę jednostronną, warzywniczą. Tymczasem festiwal filmów rolniczych w takim np. Hrubieszowie, gdzie prawie 80% mieszkańców utrzymuje się z rolnictwa, a ziemie tu najlepsze w Polsce, czy np. w Opolu nad Wisłą lub Bełżycach, gdzie rolnictwo stoi na wysokim poziomie, zwróciłby na siebie powszechną uwagę tamtejszych mieszkańców.

Sposobów łyknięcia trochę szerokiego świata i przyjmowania gości z dalekich stron jest mnóstwo — nie mówiąc oczywiście o takim, jak zbiorowa i indywidualna turystyka. Oto np. chór „Echo" z Lublina utrzymuje żywe kontakty z chórami bułgarskimi. W ub. roku „Echo" zaprosiło do siebie chór z Szumen, a potem złożyło mu rewizytę. W bieżącym roku Lubelszczyznę odwiedził chór „Rodina" z Sofii, składający się z samych lekarzy medycyny, stomatologów, farmaceutów, felczerów i pielęgniarek. Dali kilka koncertów. Z kolei „Echo" pojedzie na występy do Bułgarii.

Te kontakty, festiwale i wyjazdy różnych zespołów są oznaką naszego, wciąż rosnącego zainteresowania tym, co się dzieje i za miedzą i za siedmioma górami, chęcią poznania innych ludzi, innych spraw, oraz wymiany doświadczeń, wykorzystania wiedzy innych do rozwiązania własnych problemów.

Lat temu jeszcze dwadzieścia czy piętnaście komu by się tam śniły dzisiejsze imprezy? Przypomnijmy sobie. Kto by tam miał na nie pieniądze. A dziś? Wymiana przygraniczna pomiędzy województwem lubelskim a województwami brzeskim w Białoruskiej SRR i wołyńskim w Ukraińskiej SRR obejmuje corocznie tysiące ludzi, i ma stałe tendencje zwyżkowe. Dla mnie osobiście brak w niej jest jeszcze długoterminowej wymiany specjalistów, np. takiej, że fryzjer z Łucka przez pół roku czesze lublinianki, a nasz fryzjer tamtejsze elegantki. Inna sprawa, iż mogłoby to pociągać za sobą czasem poważne komplikacje. Wyobrażacie sobie państwo kucharza z Budapesztu w lubelskim „Smakoszu"? Tak. A odwrotnie? A minę kelnera z Wilna, gdyby przyszło mu już nie podawać, lecz zobaczyć tylko bar „Litewski" w godzinach wieczornych? Mogłoby się zakończyć protestem dyplomatycznym.

Paliwoda

„Kamena" gościem „Nadodrza"

Nr 15 (182) ukazującego się w Zielonej Górze dwutygodnika społeczno-kulturalnego „Nadodrze" z okazji 22 Lipca zamieścił 5 stron tekstów i fotografii, dostarczonych przez zespół „Kameny" i opatrzonych naszą winietą tytułową. Są to materiały poświęcone historii, gospodarce, przemianom społeczno-kulturalnym naszego województwa jak również jego krajobrazowi i folklorowi. Zaprezentowano również kilku młodych poetów lubelskich.

Kolegom z Zielonej Góry dziękujemy i prosimy o przygotowanie kolumn wymiennych na Dni Winobrania we wrześniu.

NOTY i notki

„WĘDRÓWKA PO KRAJU" — tak się nazywa gra, której rysunek i prawidła zamieściła „Walka Młodych" (nr 29). Jak przystało na lipiec, wędrówka zaczyna się w Chełmie, co nie tylko mnie miłe połechtało. Redakcja zapewnia, że grę wygrają ci, którzy „mają szczęście i w jednym palcu wiadomości z geografii i najnowszych dziejów Polski". Ale zdębiałem, gdy w wyjaśnieniach przeczytałem, że w Chełmie obok wielkiej cementowni znajduje się huta szkła. Jako żywo takiej huty w Chełmie nie było, nie ma i chyba nie będzie. Z czego wynika, że ów redaktorski palec z geografią jest mocno połamany reumatyzmem. Pocieszam się, że ze względu na młody (chyba) wiek właściciela palca choroba jest uleczalna.

OD KANDYDATÓW, a także kandydatek na wyższe studia wymaga się słusznie samodzielności myślenia — jak to podkreślają naukowcy, nie wyjaśniając tylko, czy to ma być myślenie prawidłowe czy nie. Nie zdziwiłem się więc, czytając taką wypowiedź jednej z kandydatek na Wydział Historii Uniwersytetu Warszawskiego: „Po chrzcie Polski warstwy rządzące były chrześcijańskie, a lud pogański. Od tego czasu wiele się w Polsce zmieniło i teraz jest odwrotnie". Niestety tajemnica egzaminacyjna sprawia, że nie wiadomo, jaką oceną skwitowano takie samodzielne myślenie.

„ŚWIAT" (nr 29) zamieścił relację z trzech rozmów na temat, jak będziemy żyli za 25 lat. Dyrektor Instytutu Wzornictwa Przemysłowego roztacza wizję nadmuchiwanych mebli, kuchen bez zlewozmywaków, osiedli mieszkaniowych bez kolejek w trw. punktach usługowych itp. Dwoma słowami — cudowne życie. Zaniepokoiło mnie tylko stwierdzenie: „Naciśnięcie guzika zmieni sypialnę w przestronny salon towarzyski". Ale ponieważ nowe warunki „sprzyjać będą zawiązywaniu się autentycznych — nie przypadkowych lub przymusowych, jak dzisiaj — więzów", dla dobra tych więzów wolałbym odwrotnie: aby za naciśnięciem guzika salon zamieniał się w sypialnię...

OTO PRÓBKA recenzenckiego stylu kobiety o włoskim filmiku „Dziewica dla księcia" („Dookoła Świata" nr 29): „Kolejne „próby łóżkowe" są tu zbyt mało „cienkie", za bardzo z gruba ciosane". Nie wiem tylko komu współczuć: księciu czy dziewicy?

WPRAWDZIE W ŻADNYM oficjalnym, a nawet półoficjalnym poczcie królów polskich próżno szukać króla Ćwieczka, ale przecież i formalnie i znaczeniowo żyć musiał w okresie przedrozbiorowym. Więc nie udał się rzekomy dowcip Tadeuszowi Kudlińskiemu, który w „Przewodniku dla teatromanów", a więc ludzi o pewnej kulturze i znajomości historii („Teatr Ludowy" nr 7—8) pisze: „Dlatego podnoszą się głosy publiczności, domagającej się autentycznego Wyspiańskiego. Nie oznacza to bynajmniej, by miano go grać tak, jak za króla Ćwieczka". Po prostu Wyspiańskiego wtedy nie było.

MONOPOLISTA OD FOTOGRAFII prasowych czyli CAF coraz częściej częstuje prasę, a za jej pośrednictwem miliony ludzi, infantylno odkrywczymi podpisami. Oto dla przykładu zdjęcie, zamieszczone w nr 166 „Gazety Białostockiej": jakaś alejka na skwerze oraz trzy panie z wózkiem dziecięcym — przy czym jedna z ławek jest ustawiona nieprawidłowo na środku tejże alejki, widocznie aby zmieściła się w obiektywie. A niżej triumfalny podpis głosi urb et orbi: „Na skwerze można wypocząć". Rzeczywiście można — i co z tego?

CO TO ZNACZĄ — przynajmniej w opinii niektórych dziennikarzy — głupie 2 miliony zł lub cztery dni? W „Kurierze Polskim" nr 163 przeczytałem o przebudowie tzw. Klina (skrzyżowanie kilku ulic), że kosztowało to 14 mln zł i że „15 lipca nowy węzeł komunikacyjny Lublina został przekazany do użytku". Tego samego dnia w miejscowym „Sztandarze Ludu" (nr 168): „Inwestycja ta, kosztująca ok. 12 mln zł... A więc 15 lipca autobusy i trolejbusy wrócą na swe tradycyjne trasy". „Kurier Lubelski" zaś (nr 166) — a wszystko tego samego dnia — donosi w notatce: „W chwili obecnej trwają jeszcze prace"... Niżej zaś pod fotografią: „Prace przy przebudowie Klina zostały już zakończone". Zwariować można.

„GENEALOGIA LITERACKA KAPITANA KLOSSA" — taki tytuł ma praca magisterska, przygotowywana przez pewną studentkę polonistyki we Wrocławiu. To się nazywa powiązanie nauki z życiem. A co będzie, jeżeli profesor nie lubi kryminałów?

NA POCZĄTKU ULICY, prowadzącej do parku sanatoryjnego w Nałęczowie, postawiono znak zakazu postoju i zatrzymywania się samochodów. Niby słusznie, ale mikroskopijny parking może pomieścić zaledwie dziesiątą część wozów, które przyjeżdżają tam w każdą sobotę i niedzielę. Więc mimo zakazu na ulicy i jej poboczach parkuje przynajmniej sto samochodów, nie wyłączając milicyjnych i wojskowych. No bo co robić?

JOD.

Odpowiedzi redakcji

J. K. w Rzeszowie. Panu i wszystkim miłym naszemu sercu uczestnikom ankiety serdecznie dziękujemy za udział. Materiału nadeszło wiele, i to niezwykle dla nas cennego, bo instruktywnego. Zapoznajemy się z nim w pocie czoła. Merytoryczne wyniki ankiety oraz rezultaty losowania książek ogłosimy już po wakacjach (we wrześniu, październiku...), chcemy mieć bowiem pewność, że przeczytają nas przynajmniej wszyscy bezpośrednio zainteresowani. A teraz coś już wyłącznie dla Pana. Wyrażenia typu „konferencję prowadził" stanowią rodzaj metafor, które się już zieksykalizowały, czyli weszły na stałe do języka, tracąc swój metaforyczny sens. Podobną metaforą są... „nogi stołowe"; wyraz „nogi" zaczerpnięto tu z genetycznie obcej wytworom ludzkim dziedziny świata zwierzęcego i skojarzono ze stołem; potem nastąpiła rzeczona leksykalizacja. Druga sprawa — bardziej od notatek z terenu zainteresowałyby nas krótkie materiały problemowe dotyczące spraw zakładów pracy. Proszę spróbować.

„Artur" w Gorlicach. Dopiero teraz, niestety, zdołaliśmy znaleźć czas na odpowiedź dla Pana. Ale na pocieszenie Pańskie stwierdzić musimy, iż wiersze są coraz bardziej udane. (A zaczęło się trochę smutno, nieprawdaż?). Ta cierpliwość w poetyckim dookreślaniu przedmiotu, to szukanie dań — „przyległych" ekwiwalentów słownych („Maki"), to — wreszcie — odnajdywanie subtelnych „sensów ludzkich", wyprowadzanych z lirycznego przeżycia krajobrazu („Z gór")! Trzeba dalej pracować i rozwijać swoje uzdolnienia w obranym kierunku. Życzymy pomyślności, a przede wszystkim cierpliwości. Prosimy nie tracić kontaktu z nami, ale też nie spieszyć się z nową partią tekstów. Znacznie bardziej wolimy jeden wiersz do końca przemyślany i opracowany, niż kilka utworów słabo wykończonych.

M. S. w Dębowej Kłodzie. Stwierdza Pan: „Napisałem kilka wierszy które moim zdaniem są ładne, ale nie wiem co na to redakcja powie". I dalej m. in. tak: „Na wiosnę przychodzi miłość, / a miłość to piękna rzecz / kochanie to właśnie miłość / za, którą każdy chce biec". Nawet jeśli się Panu wybaczy rewelacje interpunkcyjne, to i tak wierszom można wiele zarzucić, ot choćby to, że właśnie są zbyt „ładne" w potocznym sensie, wykorzystują efekty poetyckości, niezwykle już banalnej. A sens poezji to przełamywanie utartych sposobów widzenia świata. Z publikacji — nic nie będzie. Przynajmniej w „Kamenie".

St. L. w Bielawie. Dopóki swoje wierszowanie będzie Pan traktował jako dobrą zabawę i dopóki będzie się Pan włączał do rozmaitych niewinnych igraszek poetyckich, jakie na łamach „Kameny" proponujemy czytelnikom, ale jakie, niestety, czasem spotykają się z niezrozumieniem śmiertelnie ponurych i zmęczonych życiem osobników, a więc dopóki zachowa Pan dotychczasowe poczucie humoru, dopóty będziemy mogli bawić się wspólnie. Blada jednak, gdy zechce Pan, abyśmy go poetycko nobilitowali, dając list polecający na wysoki Parnas. Takie zabiegi — w gruncie rzeczy — nie w naszej gestii, a przynajmniej najczęściej tak właśnie jest.

L. Ł. w Lesznie Wlkp. Jeśli Pana jeszcze interesuje nasza opinia, to stwierdzamy, iż na złe wyszedł tekstom ich okolicznościowy charakter. Kto nie zna zdarzeń towarzyszących, ten nie całkiem potrafi odczytać sens wierszy. Ponadto za wiele u Pana poetyckich „piękności", które dziś już się w znacznym stopniu przeżyły: owe „lica", owa „najpiękniejsza symfonia" etc. Wydrukować zatem nie jesteśmy skłonni, co nie oznacza, iż całkiem negatywnie osądzamy perspektywy Pańskiego poezjowania.

P. P. Stanisława Pucha, Jana Wójtowicza, Józefa H. Wiśniewskiego oraz Zygmunta Kozickiego, a także **Józefa Rybińskiego** prosimy o nadesłanie dokładnych adresów, chcemy bowiem wysłać honorarium za opublikowane materiały.